

ANTHONY HOROWITZ

Upiorna szkoła

Przekład Jan Krasko

Tytuł oryginału GROOSHAM GRANGE

Relegowany

Przy Wiernotta Mews numer 3 była pora kolacji. Pan i pani Eliot siedzieli przy stole wraz ze swym jedynym synem, Davidem. Wieczorny posiłek rozpoczęli od wielkiej misy surowej kapusty z sosem serowym, ponieważ nigdy nie jadali mięsa. W pokoju panowała bardzo chłodna atmosfera. Tego dnia, a był to ostatni dzień zimowego semestru, David przyniósł do domu sprawozdanie z postępów w nauce. Lektura dokumentu nie należała do przyjemności.

„Eliot nie zrobił żadnych postępów - pisał nauczyciel matematyki. - Nie umie dzielić ani mnożyć, a i w dodawaniu ma ujemne wyniki”.

„Prace ręczne? - pisał nauczyciel stolarki. - Przecież on nigdy nie pracuje!”

„Gdyby nie spał w klasie, byłby to prawdziwy cud” - narzekała nauczycielka religii.

„Bardzo słaby uczeń” - konkludował wychowawca. „Nic z niego nie będzie” - zgadzał się z nim dyrektor szkoły.

Pan Eliot czytał te uwagi z narastającym gniewem. Najpierw poczerwieniał na twarzy. Potem zbieleły mu palce. Posiniały mu żyły na szyi i szerniał język. Pani Eliot nie wiedziała, czy wezwać lekarza, czy zrobić mu kolorowe zdjęcie, lecz w końcu, po kilku szklaneczkach whisky, pan Eliot doszedł do siebie.

- Jeśli nie przynosiłem do domu najlepszych ocen - jęknął - mój ojciec zamykał mnie bez jedzenia w kredensie, i to na cały tydzień! Raz przykuł mnie łańcuchem do zderzaka samochodu i pojechał autostradą M1 tylko dlatego, że byłem drugi w klasie z łaciny.

- Gdzie popełnił błąd? - wyszlochała pani Eliot, nerwowo skubiąc swoje fiołkoworóżowe włosy. - I co powiedzą sąsiedzi? Wyśmieją mnie! Jestem skończona!

- Gdybym przyniósł do domu takie świadectwo, ojciec by mnie zabił - kontynuował pan Eliot. - Przywiązałby mnie do torów kolejowych i zaczął na pospieszny z Charing Cross, ten o jedenastej zero pięć...

- Zawsze możemy powiedzieć, że nie mamy dziecka - zawodziła pani Eliot. - Albo że nasz syn zachorował na jakąś rzadką chorobę. Albo że spadł ze skały.

Jak z tego widać, państwo Eliot nie należeli do rodziców, o jakich się marzy. Edward Eliot, niski, gruby i łysy mężczyzną o szorstkowatych wąsach, miał na szyi kurczawkę. Był dyrektorem banku w londyńskim City. Eileen Eliot, kobieta bardzo chuda i o trzydzieści centymetrów wyższa od niego, miała porcelanowe zęby i nosiła sztuczne rzęsy. Państwo Eliot pobrali się przed dwudziestu dziewięciu laty i mieli siedmioro dzieci. Sześć starszych sióstr Davida już z nimi nie mieszkało. Trzy wyszły za mąż, trzy wyemigrowały do Nowej Zelandii.

David siedział na końcu wypolerowanego orzechowego stołu, jedząc wypolerowanego orzecha włoskiego, ponieważ nic więcej nie dostał. Jak na swój wiek był niski i szczupły, do czego przyczyniła się zapewne wegetariańska dieta, na jakiej go wychowano. Miał brązowe włosy, zielononiebieskie oczy i piegowaty nos. Gdyby spytano go, co o sobie sądzi, powiedziałby, że jest niski i brzydki. Natomiast dziewczyny uważały, że jest całkiem fajny, co jeszcze bardziej go dobijało.

Od pół godziny jego rodzice rozmawiali ze sobą tak, jakby go tam nie było. Ale kiedy matka podała główne danie - zapiekanekę z porów i szparagów, polaną sosem z tartej marchewki - ojciec spojrzął na niego i rzekł:

- Davidzie. - Nerwowo zadrgała mu prawa powieka. - Rozmawialiśmy o twoich szkolnych postępach i wiedz, że nie jesteśmy z ciebie zadowoleni.

- Bynajmniej! - zgodziła się z nim pani Eliot, wybuchając płaczem.

- Dlatego postanowiliśmy, że trzeba coś zrobić. Powiem ci tylko, że gdyby żył twój dziadek, powiesiłby cię do góry nogami w lodówce. Mnie też wieszał, jeśli choćby kichnąłem bez pozwolenia! Ale ja nie będę tak surowy.

- Właśnie! - dodała pani Eliot, wydmuchując nos w koronkową chustkę. - Twój ojciec to prawdziwy anioł!

- Postanowiłem, że w tym roku nie będziesz miał świąt. Ani Mikołaja, ani prezentów, ani indyka, ani śniegu.

- Śniegu też nie? - zainteresowała się pani Eliot.

- Nie w naszym ogrodzie. Jeśli spadnie, każę go usunąć. Wyrwałem już z kalendarza kartkę z dwudziestym czwartym grudnia. Ten dzień przeskoczmy. Po dwudziestym trzecim będzie od razu dwudziesty piąty, ale żeby wszystko się zgadzało, dwa razy przeżyjemy dwudziesty siódmy grudnia.

- Nie rozumiem - wyznała pani Eliot.

- Nie przerywaj mi, moja droga - rzekł pan Eliot, bijąc ją łyżką. - Gdyby nie twoja matka - kontynuował - dostałbyś również porządne lanie. Moim zdaniem, w tym domu zbyt

rzadko używa się pasa. Kiedy byłem dzieckiem, ojciec łoł mi skórę codziennie i nic mi się nie stało.

- No, niezupełnie... - wymamrotała półgłosem pani Eliot.

- Bzdura! - Pan Eliot, który siedział w elektrycznym wózku inwalidzkim, odepchnął się od stołu. - Dzięki temu wyszedłem na ludzi!

- Ależ kochanie, przecież ty nie możesz chodzić...

- To niewielka cena za doskonałość manier! Cicho zajęczał silnik i pan Eliot podjechał do Davida.

- No i? - warknął. - Słucham. Co masz do powiedzenia?

David wziął głęboki oddech. Bał się tej chwili od początku kolacji.

- Nie mogę wrócić do szkoły - powiedział.

- Nie możesz? Czy nie chcesz?

- Nie mogę. - David wyjął z kieszeni zmięty list i podał go ojcu. - Właśnie miałem wam powiedzieć. Zostałem... relegowany.

- Relegowany? Relegowany!

Edward Eliot opadł na wózek. Niechcący potracił dźwignię zmiany biegów i pełnym gazem śmignął na wstecznym prosto w syczące w kominku płomienie. Pani Eliot, która właśnie miała wypić łyk wina, wydała zduszony okrzyk i wylała na sukienkę całą zawartość kieliszka.

- I tak mi się tam nie podobało - dodał David. W normalnych okolicznościach nigdy nie ośmieliłby się tego powiedzieć, ale ponieważ i tak miał już poważne kłopoty, doszedł do wniosku, że odrobina szczerości nie może mu chyba zaszkodzić.

- Nie podobało ci się?! - wrzasnął ojciec, wylewając na siebie dzbanek wody, żeby ugasić ogarniające go płomienie. - Beton College to najlepsza prywatna szkoła w Anglii! Chodzą tam najwybitniejsi obywatele tego kraju! Twój dziadek tam chodził. Twój pradziadek powtarzał tę szkołę dwa razy, tak mu się tam podobało. A ty śmiesz siedzieć tu i mówić, że...!

Namacał ręką nóż i pewnie rzuciłby nim w swego jedyne go syna, gdyby pani Eliot nie rzuciła się nań pierwsza, nadziewając się piersią na piętnastocentymetrowe ostrze.

- Dlaczego ci się nie podobało? - wychrypiął pan Eliot, gdy jego żona zwała się bezwładnie na dywan.

David z trudem przełknął ślinę. Kątem oka namierzył drzwi i gdyby sprawy przybrały naprawdę zły obrót, mógłby uciec do swego pokoju.

- Bo to głupia szkoła - odparł. - Z nauczycielami trzeba było witać się po łacinie. Musiałem czyścić buty starszym chłopcom, nosić cylinder i frak i jeść, stojąc na jednej nodze

tylko dlatego, że jeszcze nie skończyłem trzynastu lat. I nie było tam dziewczyn. To idiotyczne. No i te durne zwyczaje. Kiedy mnie wyrzucono, na oczach całej szkoły przecięli mi krawat na pół i pomalowali marynarkę na żółto.

- Przecież to stara tradycja! - wrzasnął pan Eliot. - Tak jest we wszystkich prywatnych szkołach. Uwielbiałem Beton College. I nie przeszkadzało mi, że nie ma tam dziewczyn. Kiedy żeniłem się z twoją matką, nie wiedziałem nawet, że jest dziewczyną. Minęło dziesięć lat, zanim to odkryłem!

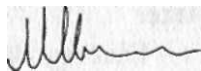
Nachylił się, wyrwał nóż z piersi leżącej na podłodze żony, rozciął nim kopertę, wyjął list i przeczytał:

Szanowny Panie Eliot!

Z wielkim żalem donoszę, że zmuszony jestem relegować Pańskiego syna Davida ze szkoły za konsekwentne i rozmyślne propagowanie socjalizmu.

Quid te exempta iuvat spinis de pluńbus una?

Z poważaniem



Dyrektor Beton College

- Co piszą? - jęknęła pani Eliot, powoli wstając z podłogi.

- Za propagowanie socjalizmu! - List, który jej mąż trzymał w rozdygotanych dłoniach, nagle pękł na pół i pan Eliot trafił ją łokciem w oko.

- Nie chcę chodzić do prywatnej szkoły - wychlipał żałośnie David. - Chcę chodzić do zwykłej, takiej z normalnymi uczniami i...

Nic więcej powiedzieć nie zdążył. Ojciec pchnął dźwignię gazu, wziął potężny zamach nożem i runął na niego pełnym pędem, nie zważając na bolesny krzyk żony, którą niechcący przejechał. David uciekł do korytarza i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Gdybym odezwał się tak do ojca, kazałby mi wypić pół kanistra benzyny, a potem...

Reszty już nie słyszał. Dowłókł się do swego pokoju i padł na łóżko. Z dołu dochodził go brzęk tłuczonych talerzy i stłumione krzyki rodziców obwiniających się nawzajem o to, co się stało.

Już po wszystkim. Poszło lepiej, niż się spodziewał. Ale leżąc samotnie w mrocznej sypialni, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że najgorsze dopiero przed nim.

Folder

Nazajutrz rano do domu Eliotów wróciła odrobina normalności i chociaż David wciąż nie miał odwagi opuścić bezpiecznej sypialni, jego rodzice zasiedli do śniadania, jakby nic się nie stało.

- Lepiej się dzisiaj czujesz, moja ty miseczko orzeszków, owiesku, suszonych owoców i pszennych płateczków? - spytała czule pani Eliot.

- Nie jesteśmy Frutiną - odparł pan Eliot, dosypując sobie Frutiny. - A jak tam twoja rana?

- Już prawie nie boli, dziękuję, kochanie.

Jedli w milczeniu. Pan Eliot jak zwykle czytał „Financial Timesa”, szczękając zębami, prychnając i chichocząc, jeśli natknął się przypadkiem na wiadomość o bankructwie któregoś ze swoich klientów. Pani Eliot siedziała po drugiej stronie stołu w różowym szlafroku i w różowych lokówkach na głowie i zasłoniwszy się porannym wydaniem „Daily Mail”, wlała do miseczki kapkę wódki. Lubiała, kiedy płatki trzeszczały jej w zębach, strzelały i chrzęściły, idąc zarazem prosto do głowy.

O Davidzie przypomnieli sobie dopiero przy jajkach na miękko. Pan Eliot właśnie rozbił skorupkę łyżeczką, gdy wtem zadrżały mu szczeciniaste wąsy, a oczy przesłoniła mu szklista mgła.

- David... - mruknął.

- Mam go zawołać? - spytała pani Eliot.

- Co my z nim zrobimy? - Pan Eliot ponownie trzasnął łyżeczką w jajko, lecz tym razem zrobił to za mocno i jajko pękło, zasypując panią Eliot deszczem skorupki. Pan Eliot ciężko westchnął i zabębnił palcami w leżącą na stole gazetę.

- Zawsze miałem nadzieję, że pójdzie w moje ślady i zostanie bankierem - powiedział.

- Dlatego kupiłem mu kalkulator, kiedy miał siedem lat, i dyplomatkę, kiedy skończył osiem. Żeby zrobić mu przyjemność, od dziesięciu lat zabieram go w święta na giełdę. A on? Jak mi się za to odwdzieczył? Relegowali go ze szkoły! - Pan Eliot chwycił gazetę i podarł ją na strzępy. - Wyrzucili go! Wylali!

W tym momencie z korytarza dobiegł cichy trzask spadającego na podłogę pliku listów. Pani Eliot wyszła sprawdzić, co przyszło, ale jej mąż nie przerwał monologu.

- Gdybym tylko mógł znaleźć szkołę, która nauczyłaby go moresu - mamrotał. - Nie jakieś tam nowoczesne fiu-bździu, tylko prawdziwą szkołę, gdzie panuje prawdziwa dyscyplina. Tak, kiedy byłem młody, wiedziałem, co znaczy dyscyplina! A dzisiaj? Większość dzieci nie potrafi nawet przesyłabizować tego słowa. Bat, bat i jeszcze raz bat! Tego im potrzeba! Bata albo bambusowego kija na goły tyłek!

Pani Eliot wróciła do jadalni z plikiem wyciągów i rachunków w rękę, lecz tego ranka oprócz zwykłej korespondencji dostali również dużą brązową kopertę.

- Szkoła Pod Wieżycami... - przeczytała zaskoczona.

- Co?

- Tak jest na pieczęci. - Podała kopertę mężowi. - A na znaczku jest stempel z Norfolk.

Pan Eliot chwycił nóż i jego żona dała nura za stół, myśląc, że mąż ponownie ją dźgnie, lecz on tylko rozciął kopertę i wyjął zawartość.

- Dziwne... - wymamrotał.

- Co to jest, najdroższy? - Pani Eliot ostrożnie wychynęła zza stołu.

- Folder, prospekt reklamowy... szkoły dla chłopców. - Pan Eliot podjechał do okna, przez które sęczyły się promienie słońca. - Ale skąd wiedzieli, że szukamy nowej szkoły dla Davida?

- Może zawiadomili ich ci z Beton College? - myślała głośno pani Eliot.

- Pewnie tak.

Kiedy pan Eliot otworzył folder, wypadł z niego list. Pan Eliot rozłożył go i przeczytał na głos.

Szanowny Panie Eliot!

Czy zastanawiał się Pan kiedykolwiek, gdzie znaleźć szkołę, która nauczyłaby Pańskiego syna moresu? Nie jakieś tam nowoczesne fiu-bździo tylko prawdziwą szkołę, gdzie panuje prawdziwa dyscyplina? Czy nie martwi Pana, że w dzisiejszych czasach większość dzieci nie potrafi nawet przesylabizować tego słowa?

Pan Eliot podniósł głowę.

- Boże święty! - wykrzyknął. - To niesamowite!

- Co jest niesamowite? - spytała pani Eliot.

- Przed chwilą mówiłem dokładnie to samo! Słowo w słowo to samo!

- Czytaj dalej.

Pan Eliot podniósł list.

Jeśli tak, pozwolę sobie przedstawić Panu Szkołę Pod Wieżycami. Jak widać na załączonym prospekcie, jesteśmy szkołą z internatem i zapewniamy wyjątkową, by nie rzecz unikalną, opiekę dla chłopców w wieku od dwunastu do szesnastu lat, zwłaszcza dla tych, których nie zdołały ukształtować współczesne metody nauczania.

Szkoła Pod Wieżycami jest usytuowana na Czarciej Wyspie u wybrzeży Norfolk. Ponieważ nie mamy regularnego połączenia promowego ze stałym lądem, nie mamy też świąt

i wakacji; nasi uczniowie dysponują tylko jednym wolnym dniem w roku. Rodziców zapraszamy na wyspę tylko w wyjątkowych przypadkach i tylko pod warunkiem, że umieją pływać. Jestem przekonany, że znakomite wyposażenie szkoły oraz wysoki poziom nauczania przyniesie Pańskiemu synowi dużo korzyści. Proszę o wiadomość w ciągu najbliższych trzydziestu minut.

Z poważaniem John Damortus Wicedyrektor

- W ciągu trzydziestu minut? - powtórzyła pani Eliot.

- Mamy bardzo mało czasu na podjęcie decyzji!

- Ja już się zdecydowałem - warknął pan Eliot. - Jeden dzień wakacji w roku! Najrozsądniejszy pomysł, jaki kiedykolwiek słyszałem. - Przejrzał folder, który - co dziwne - nie zawierał żadnych zdjęć i był napisany czerwonym atramentem na czymś w rodzaju pergaminu. - Posłuchaj tylko tego! Nauczają wszystkich przedmiotów, a szczególny nacisk kładą na chemię, historię starożytną i religioznawstwo. Mają dwa laboratoria językowe, pracownię komputerową, w pełni wyposażoną salę gimnastyczną i są jedyną prywatną szkołą w Anglii, która ma własny cmentarz! - Podekscytowany pan Eliot dźgnął palcem otwarty folder. - Mają kółko teatralne, zajęcia muzyczne, kulinarne, plastyczne i astronomię.

- Agronomię? - nie zrozumiała pani Eliot. - Po co im agronomia?

- Astronomię, ty głupia babo. To nauka o gwiazdach!

- Pan Eliot zwinął folder w trąbkę i dzielił ją w głowę. - Od tygodnia nie miałem milszej wiadomości. Podaj mi telefon.

Na końcu listu był numer telefonu i pan Eliot szybko go wykręcił. Coś zasyczało i głośno zaszczekało. Pani Eliot westchnęła. Jej mąż zawsze syczał i szczekał zębami, kiedy był podekscytowany, kiedy zaś był w wyjątkowo dobrym humorze, gwizdał przez nos.

- Halo? - rzucił do słuchawki. - Czy mogę rozmawiać z panem Johnem Damortusem?

- Przy telefonie. - Jego rozmówca mówił bardzo cicho, niemal szeptem. - Czy mam przyjemność z panem Eliotem?

- Tak, tak, to ja, jak najbardziej! - wykrzyknął zdumiony pan Eliot. - Właśnie dostałem wasz folder.

- I podjął pan decyzję?

- Tak, absolutnie. Chciałbym zapisać syna najszybciej, jak jest to tylko możliwe. Między nami mówiąc, David bardzo mnie rozczarował. Rozczarował mnie straszliwie. Od wielu lat miałem nadzieję, że pójdzie w moje ślady, a dokładniej mówiąc, w ślady kół mojego wózka, gdyż nie mogę chodzić, ale chociaż niedługo skończy trzynaście lat, bankowość zupełnie go nie interesuje.

- Proszę się nie martwić. - Brzmiący w słuchawce głos był pozbawiony wszelkich emocji. - Jestem przekonany, że po kilku semestrach w naszej szkole zmieni się nie do poznania.

- Kiedy mógłby zacząć? - spytał pan Eliot.

- Choćby dzisiaj.

- Dzisiaj? - powtórzyła pani Eliot, wyciągając szyję i nachylając się, żeby lepiej słyszeć.

Pan Eliot grzmotnął ją słuchawką w ucho.

- Przepraszam za ten trzask - rzekł, gdy zatoczyła się na kominek - to tylko głowa mojej żony. Więc mówi pan, że David mógłby zacząć już dzisiaj?

- Tak. O trzynastej z Liverpool Station odchodzi pociąg do King's Lynn. Pojedzie nim dwóch innych uczniów. David mógłby do nich dołączyć.

- Cudownie! My też mamy jechać?

- Och, nie. - Zastępca dyrektora cicho zachichotał. - Nie zachęcamy rodziców do odwiedzin. Z doświadczenia wiemy, że w całkowitym oderwaniu od domu i rodziny nasi uczniowie adaptują się szybciej i lepiej. Ale naturalnie, jeśli chcą państwo odbyć długą, nużącą podróż...

- Nie, nie! Wsadzę go do taksówki i wyślę na dworzec. Albo nie, pojedzie autobusem.

- W takim razie czekamy na niego wieczorem. Do widzenia.

Rozległ się cichy pisk i połączenie zostało przerwane.

- Przyjęli go! - wychrypiał pan Eliot. Kiedy żona podsunęła mu telefon, odłożył z trzaskiem słuchawkę, przygniatając jej trzy palce.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do jadalni wszedł David w dzinsach i podkoszulku. Nerwowo usiadł przy stole i sięgnął po Frutinę. Ojciec podjechał do niego pełnym gazem i wyrwał mu torebkę z rąk, obsypując go deszczem płatków. Pani Eliot włożyła spuchnięte palce do mleka. David westchnął. Wyglądało na to, że śniadanie przejdzie mu koło nosa.

- Nie masz czasu na jedzenie - oświadczył ojciec. - Wracaj na górę i spakuj się. Wyjeżdżasz.

- Dokąd? - spytał David.

- Do cudownej szkoły, którą dla ciebie znalazłem. Do szkoły doskonałej. Wspaniałej.

- Przecież jest koniec semestru...

- Tam semestry się nie kończą - przerwał mu ojciec. -1 właśnie to jest najpiękniejsze. Spakuj matkę i pocałuj rzeczy na do widzenia. Wróć! - Pan Eliot grzmotnął głową w stół. - Spakuj rzeczy i pocałuj matkę na do widzenia. O pierwszej masz pociąg.

David spojrział na matkę, która ponownie się rozplakała, chociaż nie bardzo wiedział, czy płacze dlatego, że miał wyjechać, czy dlatego, że bolały ją palce, czy dlatego, że dłoń utkwiała jej w dzbanku na mleko. Jedno nie ulegało wątpliwości: nie było sensu się z nimi sprzeczać. Kiedy śmiało posprzeczać się z nimi ostatnim razem, ojciec zamknął go w pokoju i zabił gwoździami drzwi. Dwaj cieśle i ekipa straży pożarnej otwierała je przez cały tydzień. Cicho wstał i wyszedł z jadalni.

Pakował się krótko. Nie miał szkolnego mundurka, nie wiedział też, jakich książek wymagają w nowej szkole. Nie był ani szczęśliwy, ani szczególnie smutny. Ostatecznie ojciec odwołał już święta i bez względu na to, jaka była ta nowa szkoła, nie mogło być w niej gorzej niż w Wiernotta Mews. Ale składając ubrania, poczuł się tak jakoś... dziwnie. Ktoś go obserwował. Tak, był pewien, że ktoś go obserwuje.

Zamknął walizkę i podszedł do okna. Okno wychodziło na ogród, który był cały z plastiku, ponieważ matka miała uczulenie na kwiaty. I właśnie tam, pośrodku plastikowego trawnika, zobaczył... wronę. Wronę albo kruka. Nie wiedział, co to jest, ale było to bez wątpienia największe ptaszysko, jakie kiedykolwiek widział. Olbrzymie i kruczoczarne, miało długie, wystrzępione pióra, które przypominały stary, obwisły płaszcz. I gapiło się prosto w okno jego pokoju, nie spuszczało z niego błyszczących oczu.

David wyciągnął rękę, żeby otworzyć okno. W tej samej chwili ptak upiornie zakrakał, wzbił się w powietrze i poszybował nad dachami domów. David patrzył za nim, dopóki krukowron nie zniknął mu z oczu, po czym odwrócił się i podniósł walizki.

Towarzysze podróży

Na dworzec przyjechał o dwunastej. Ojciec dotrzymał słowa i wysłał go autobusem. Matka też go nie odprowadziła. Na schodach domu dostała hysterii i uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy ojciec rozbił jej na głowie butelkę mleka. Tak więc David był zupełnie sam, kiedy wlokąc za sobą walizki, szedł przez dworzec, żeby stanąć w kolejce po bilet.

Kolejka była długa, dłuższa chyba niż pociąg, do którego miał wsiąść. Stał w niej ponad dwadzieścia minut, a kiedy wreszcie dotarł do okienka, była już prawie pierwsza, tak że musiał natychmiast pędzić na peron. Miał zarezerwowane miejsce - nowa szkoła o to zadbała - i ledwie zdążył włożyć walizki na półkę i usiąść, zagwizdał gwizdek i pociąg ruszył.

David przytknął nos do szyby. Pociąg nabierał prędkości: domy podskakiwały, dygotały i coraz szybciej uciekały do tyłu. Zaczął padać deszcz. Mniej posepnie byłby chyba na karawanie, w drodze na własny pogrzeb.

Pół godziny później zostawili za sobą przedmieścia Londynu i pociąg mknął teraz przez ponure pola - wszystkie pola wyglądają tak samo, kiedy patrzy się na nie przez płaczące deszczem okno, zwłaszcza jeśli szyba pokryta jest grubą na centymetr warstwą brudu. David nie miał czasu, żeby kupić na dworcu jakąś książkę czy komiks, zresztą rodzice nie dali mu pieniędzy. Przygnębiony osunął się na oparcie siedzenia, wiedząc, że nie pozostaje mu nic innego, jak znieść trzygodzinną podróż do King's Lynn.

I dopiero wówczas zauważył, że oprócz niego w przedziale siedzą jeszcze dwie osoby, obie w jego wieku, obie równie przygaszone jak on: chłopiec i dziewczynka. Chłopiec, dość niski i otyły, miał na nosie okulary w drucianej oprawie. Był w czymś, co przypominało spodnie od szkolnego mundurka i w grubym swetrze, który zrobiono z tak dużej ilości wełny, że wyglądał jak przebrana za chłopca owca. Miał też długie, czarne włosy, które sterczały na wszystkie strony, jakby przed chwilą wyjął głowę z pralki. W ręku trzymał nadgryziony batonik Marsa i wszystkie palce ociekały mu lepkiem toffi.

Dziewczynka miała okrągłą, chłopięcą twarz, krótkie, brązowe włosy i niebieskie oczy. Jest całkiem ładna, pomyślał David, a właściwie byłaby ładna, gdyby nie to dziwaczne ubranie. Kamizelka mogłaby należeć do jej babki. Spodnie do brata. Natomiast kurtka powinna czym prędzej wrócić tam, skąd przyszła, ponieważ była na nią trzy razy za duża. Dziewczynka czytała jakieś czasopismo. David zerknął na okładkę i stwierdził, że to „Cosmopolitan”. Jego matka natychmiast wyrzuciłaby je z domu. Mówiła, że nie pochwała „tych nowoczesnych kobiet”. Nic dziwnego, bo najlepiej czułaby się w epoce kamienia łupanego.

I to właśnie ona, ta dziwnie ubrana dziewczynka, przerwała panującą w przedziale ciszę.

- Mam na imię Jill - powiedziała.

- A ja David.

- A jaJ...J...J...Jeffrey. - Nie wiedzieć czemu, nie zdziwili się, że Jeffrey się jąka.

- Jedziecie na Diabłą Wyspę? - spytała Jill, zamykając czasopismo.

- Chyba na Czarcia - poprawił ją David.

- Co to za różnica. To moja czwarta szkoła w ciągu trzech lat i jedyna, w której nie ma wakacji.

- S...s...s...są - wyjąkał Jeffrey. - J...j...j...jeden dzień w roku.

- J...j...j... jeden dzień mi wystarczy - odrzekła Jill. - Przyjadę tam i od razu wracam.

- Wpław? - spytał David. - Szkoła jest na wyspie. - Jeśli będę musiała, przyplynie wpław nawet do samego Londynu - oznajmiła Jill.

Pierwsze lody zostały przełamane i zaczęli rozmawiać, opowiadając o sobie i o tym, jak to się stało, że wylądowali w pociągu do Norfolk. David był pierwszy. Opowiedział im o Beton College, o tym, jak go relegowano i jak przyjęli tę wiadomość rodzice.

- Ja też byłem w p...p...p...prywatnej szkole - odrzekł Jeffrey. - I też mnie relegowano. R..p...przyłapali mnie za pawilonem do krykieta, jak paliłem...

- Palenie jest głupie - przerwała mu Jill.

- To nie była moja w...w...wina. Chłopcy znęcali się nade mną, jeden z nich mnie podpalił i się paliłem. - Jeffrey zdjął okulary i przetarł je rękawem. - Zawsze się nade mną znęcali, bo jestem gruby, noszę okulary i się j...j...jąkam.

Jeffrey chodził do szkoły o nazwie Godlesston w północnej Szkocji. Rodzice wysłali go tam z nadzieją, że chłopak zhardzieje. I rzeczywiście, przeszedł tam twardą zaprawę. Zimne prysznice, trzydziestodwukilometrowe przebieżki, czternaście razy na tydzień owsianka, i to wyłącznie dla nauczycieli. Uczniowie Godlesston musieli robić pięćdziesiąt pompek przed szkolną kaplicą i dwadzieścia jeden w kaplicy, podczas nabożeństwa. Dyrektor przychodził na lekcje w stroju gimnastycznym ze skóry leoparda, a nauczyciel wychowania fizycznego codziennie dojeżdżał do szkoły rowerem, co było tym niezwyklejsze, że mieszkał w Midlands.

Biedny Jeffrey nie mógł tego wszystkiego wytrzymać i ostatni dzień semestru był dla niego naprawdę dniem ostatnim. Został relegowany, a już nazajutrz rano jego ojciec dostał prospekt reklamowy Szkoły Pod Wieżycami. Załączony do prospektu list był zupełnie inny niż ten, który otrzymał ojciec Davida. Przedstawiał szkołę jako wielki kompleks sportowy, centrum odnowy biologicznej i wojskowy obóz treningowy, słowem trzy w jednym.

- Mój tata też dostał od nich list - powiedziała Jill. - Ale pisali w nim, że Szkoła Pod Wieżycami to miejsce z klasą. Że nauczę się tam wytwornych manier, haftowania, i tak dalej.

Jej ojciec był dyplomata i pracował w Ameryce Południowej. Matka była aktorką. Ani jedno, ani drugie nigdy nie bywało w domu i rozmawiali z Jill tylko przez telefon. Pewnego razu matka wpadła na nią na ulicy i nie poznała nawet, że to jej córka. Jednakże tak samo jak rodzice Davida, ojciec i matka Jill chcieli zapewnić jej dobre wykształcenie, dlatego zaliczyła aż trzy prywatne szkoły.

- Z pierwszych dwóch uciekłam - wyjaśniła Jill. - Trzecia była czymś w rodzaju pensjonatu dla dziewcząt z dobrego domu. Uczyli mnie układania kompozycji kwiatowych i

gotowania, ale byłam beznadziejna. Kwiaty więdły, zanim zdążyłam je ułożyć, a od mojego jedzenia nauczycielka omal nie wylądowała w szpitalu.

- I co było potem? - spytał David.

- Powiedzieli, że mają mnie dość. Odesłali mnie do domu i wtedy przyszedł ten list.

Ojciec Jill natychmiast to wykorzystał, to znaczy wykorzystał chwilę czasu, żeby wskoczyć do samolotu i wrócić do Ameryki Południowej. Matka nawet nie przyjechała do domu. Właśnie powierzono jej podwójną rolę w bożonarodzeniowej pantomimie - grała obie poły konia naraz - i była zbyt zajęta, żeby zwracać sobie głowę córką. Wszystkie formalności załatwiła jej niemiecka niania, która nie rozumiała nawet, o co chodzi w liście. I tak Jill znalazła się w pociągu.

Kiedy już się nagadali, David uświadomił sobie, że łączy ich jedno: wszyscy troje byli tak zwanymi „trudnymi” dziećmi. Mimo to żadne z nich nie miało zielonego pojęcia, czego oczekiwać po nowej szkole. W liście do ojca Davida była to staromodna szkoła tylko dla chłopców. W liście do rodziców Jeffreya czymś w rodzaju kursu przetrwania w ciężkich warunkach bojowych. A rodzice Jill myśleli, że wysyłają córkę do ekskluzywnego college’u dla dziewcząt.

- Jakby pisali o trzech absolutnie różnych miejscach - zauważył David. - Tymczasem jest to jedna i ta sama szkoła.

- I j...j...jeszcze coś - dodał Jeffrey. - Pisali, że leży na Czarciej Wyspie u wybrzeży N...N...Norfolk. Sprawdziłem na mapie. Tam nie ma żadnej wyspy, ani Czarciej, ani żadnej.

Trawili to chwilę w milczeniu. Pociąg przystanął na jakiejś stacji i na korytarzu wybuchło zamieszanie, bo jedni pasażerowie wsiadali, a inni wysiadali.

- Posłuchajcie - odezwał się David. - Bez względu na to, co nas tam czeka, musimy trzymać się razem. Dlatego zawrzyjmy pakt. My przeciwko nim. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Jak trzech m...m...muszkietarów? - spytał Jeffrey.

- Właśnie. Nikomu o tym nie powiemy. Zawijemy coś w rodzaju tajnego stowarzyszenia. I zawsze, bez względu na to, co się wydarzy, będziemy mieli dwóch zaufanych przyjaciół.

- Ale ja chcę stamtąd uciec - mruknęła Jill.

- Może uciekniemy z tobą, nie wiem. A przynajmniej ci pomożemy.

- Jakby co, pożyczę ci k...k...kąpielówkę - powiedział Jeffrey.

Jill zerknęła na jego obfity brzuch i doszła do wniosku, że kąpielówkę Jeffreya przydałyby jej się bardziej jako spadochron, lecz zatrzymała tę myśl dla siebie.

- Dobra - odrzekła. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Tak, j...j...jeden za wszystkich, wszyscy za j...j...jednego.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - powtórzył David i wszyscy troje uścisnęli sobie ręce.

Otworzyły się drzwi i do przedziału zajrzał młody mężczyzna. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył David, była jego koloratka: mężczyzna był pastorem. Rzeczą drugą była jego gitara.

- Wolne? - spytał mężczyzna, ruchem głowy wskazując jedno z wolnych miejsc.

- Tak. - David wolałby skłamać. Boże, pomyślał, tylko nie teraz. Wszystko, byle nie śpiewający pastor. Jednakże było oczywiste, że w przedziale siedzą tylko oni.

Mężczyzna wszedł do środka, uśmiechając się tym potwornym uśmiechem, jakim czasem uśmiechają się ludzie blisko związani z kościołem. Zamiast włożyć gitarę na półkę, oparł ją o podłokietnik siedzenia naprzeciwko. Miał trzydzieści parę lat, jaskraworóżowe policzki, jasne włosy, brodę i niezwykle białe zęby. Oprócz koloratki nosił jeszcze srebrny krucyfiks, medalion ze świętym Krzysztofem i pacyfistyczny znaczek z napisem PRECZ Z BOMBĄ.

- Jestem ojciec Percival - oznajmił, jakby ciekawiło ich, kim jest. - Ale możecie mówić mi Jimbo. - David zerknął na zegarek i cichutko jęknął. Do Kings Lynn zostało jeszcze dwie godziny jazdy, a ojciec Percival już się rozkręcał, jakby lada moment miał zacząć śpiewać.

- Dokąd jedziecie? - spytał. - Wracacie do domu na święta czy macie wolny dzień?

- Jedziemy do sz...sz...szkoły - odrzekł Jeffrey.

- Do szkoły? Super! Fantastycznie! - Pastor spojrział na nich i nagle zdał sobie sprawę, że żadne z nich się z tego nie cieszy. - Hej, uśmiechnijcie się! - wykrzyknął. - Życie to najwspanialsza podróż, a jeśli podróżuje się z Jezusem, jest to podróż pierwszą klasą!

- Podobno ma pan na imię Jimbo - wymamrotała Jill.

- Wiecie co? - rzucił pastor, udając, że tego nie słyszał. - Chyba potrafię was rozweselić. - Chwycił gitarę i uderzył w struny. Gitara była koszmarnie rozstrojona. - Może zaczniemy od kilku hymnów? Ten skomponowałem sam. Tytuł? *Jezu, jesteś moim kumplem*. Gdzie tak...

Przez następną godzinę Jimbo zaprezentował im sześć własnych kompozycji, potem zaśpiewał *Naprzód, chrześcijańscy żołnierze oraz jasne i piękne sprawy*, a ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, dodał do tego starych kilka kolęd. Wreszcie skończył i położył gitarę na kolanach. David wstrzymał oddech, modląc się w duchu, żeby pastor nie wygłosił im teraz

kazania albo - co byłoby znacznie gorsze - nie puścił wkoło tacy na datki. Ale nie, wyglądało na to, że jest równie zmęczony jak oni.

- Jak wam na imię? - spytał.

Jill ich przedstawiła.

- Świetnie! Naprawdę super! A więc powiedzcie mi, Davidzie, Jeffrey i Jill, co to za szkoła? Bo jedziecie do szkoły, tak?

- Tak - odrzekł David. - Na Czarcia Wyspę, do Szkoły Pod Wieżycami.

- Do Szkoły Pod Wieżycami? - Pastor potwornie zbladł. W ułamku sekundy z twarzy odpłynęła mu cała krew. Rozdziawił usta. Oczy wyszły mu z orbit, zadrżały różowe policzki.

- Na Czarcia... Wyspę? - wyszeptał. Zaczął się trząść. Jego włosy zafalowały, a potem stanęły dęba.

Był śmiertelnie przerażony. David nigdy dotąd nie widział tak przerażonego człowieka. Co on takiego powiedział? Wymienił tylko nazwę szkoły i nazwę wyspy, tymczasem pastor patrzył na niego jak na samego diabła.

- Na Czarcia Wysssss... - Nieszczęśnik próbował powtórzyć to po raz drugi, lecz słowa utknęły mu w gardle i zasyczał jak przekłuty balon. Jego wytrzeszczone oczy przypominały piłeczki do ping-ponga. Posiniała mu szyja, cały dygotał i było widać, że nie może oddychać.

- Ssss... - Syk stopniowo ucichł. Palce gitarzysty zmieniły się nagle w zakrzywione szpony: wystrzeliły do góry i chwyciły go za gardło. A potem rozległ się głośny trzask, brzdęk i głuchy łoskot. Pastor runął na podło-

- O Boże - szepnęła Jill. - On chyba nie żyje.

Czarcia Wyspa

Pastor dostał ciężkiego ataku serca, ale żył i chyba przeżył. Konduktor zatelefonował do King's Lynn i gdy tam dojechali, na peronie czekał portier z wózkiem, który przewiózł go szybko do karetki pogotowia przed dworcem. Po Davida, Jill i Jeffrey'a też ktoś wyszedł. Wystarczyło, że na niego spojrzeli i natychmiast doszli do wniosku, że z radością zabraliby się karetką wraz z chorym pastorem.

Mężczyzna był potwornie zdeformowany. Gdyby przeżył straszliwy wypadek samochodowy, a następnie wpadł między tryby przemysłowego młyna, jego wygląd mógłby tylko ulec poprawie. Miał najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu - najwyżej, a raczej najniżej, gdyż głowę nosił bliżej ziemi niż ramiona. Było tak częściowo dlatego, że miał chyba skrecony kark, a częściowo dlatego, że na plecach sterczał mu potężny garb. Miał też tylko

jedno oko, osadzone dobrych kilka centymetrów niżej, niż u normalnego człowieka, mocno napuchnięty policzek i cienkie, rzadkie włosy. Był w obszernej skórzanej kurtce i bufiastych spodniach. Czekający na stacji ludzie tak bardzo starali się na niego nie patrzeć, że pewna nieszczęsna kobieta spadła z peronu na tory. Mężczyzna wyglądał tak potwornie, że szczerze mówiąc, trudno było patrzeć na cokolwiek innego. Trzymał tabliczkę z napisem: SZKOŁA POD WIEŻYCAMI. David zbliżył się do niego z sercem w gardle. Jeffrey i Jill podeszli za nim.

- Mam na imię Gregor - wychrypiął gardłowo mężczyzna. - Mielicie dobrą podróż?

David musiał zaczekać, aż Gregor powtórzy pytanie, gdyż zabrzmiało mniej więcej tak: Mieścieróż? Wreszcie zrozumiał i bez słowa kiwnął głową.

- W takim razie zabierzcie swoje bagaże, młodzi panicze i ty, panienko. Samochód czeka.

Przed dworcem czekał karawan.

Był przemalowany, na jego boku widniała nazwa szkoły, lecz Jill, David i Jeffrey natychmiast rozpoznali ten charakterystyczny kształt, tę długą, szeroką platformę, gdzie zwykle spoczywa trumna z jej posepną zawartością. Przechodnie też nie dali się nabrać. Przystawali, z nabożnym szacunkiem zdejmowali kapelusze, a oni, Jill, David i Jeffrey, mknęli ulicami w nieznaną. David zastanawiał się, czy nie jest to koszmarny sen, czy nie obudzi się zaraz w swoim łóżku przy Wiernotta Mews. Ukradkiem uszczypnął się w nogę. Na próżno. Garbus zatrał klaksonem na jakąś ciężarówkę i zaklął. Przejechali przez skrzyżowanie na czerwonym świetle.

Gregor był dość szczególnym szoferem. Ze względu na niski wzrost i kształt ciała, prawie nic nie widział zza kierownicy, natomiast przechodnie nie widzieli jego i wyglądało to tak, jakby karawan prowadził się sam. Cud, że nikogo nie potrącili. David, który siedział na przednim siedzeniu, nie odrywał od niego oczu. Gregor odwrócił głowę, uśmiechnął się szeroko i rzekł:

- Pewnie ciekawi cię, paniczu, dlaczego tak wyglądam, co? Urodziłem się taki, urodziłem się odrażająco brzydki. Moja matka omal nie umarła z przerażenia, naprawdę. Biedna mamusia. Biedny Gregor. - Szarpnął kierownicą i w ostatniej chwili ominęli wysepkę na jezdni. - Kiedy byłem w twoim wieku, chciałem występować w cyrku, w przedstawieniu z dziwolągami. Ale nie, powiedzieli, że mam za wysokie kwalifikacje. No to zostałem dozorcą w Szkole Pod Wieżycami. Kocham tę szkołę, paniczu, wy też ją pokochacie. Kochają ją wszyscy młodzi chłopcy i dziewczęta.

Minęli przedmieścia i skręcili w drogę biegnącą wybrzeżem na północ. Potem David musiał chyba przysnąć, ponieważ następną rzeczą, jaką zobaczył, było szarawe niebo. Zdawało się, że płyną po nim jak po morzu, że przód karawanu rozcina ciemnozielone fale, lecz gdy przetarł oczy i spojrzął w okno, okazało się, że to nie morze, tylko płaskie, rozległe pole, że fale nie są prawdziwymi falami, tylko falującą na wietrze trawą. Pole było zupełnie puste, lecz w oddali dostrzegł biały, drewniany wiatrak, w którym odbijały się ostatnie promienie wieczornego słońca. Zadrzał. Gregor włączył ogrzewanie, mimo to David czuł, jak do szoferki wkrada się przeraźliwy chłód pustkowia.

Potem zobaczył prawdziwe morze. Droga, a właściwie dróżka, którą jechali, prowadziła do rozchwierutanego, drewnianego pomostu. Czekająca na nich łódź, na wpół ukryta w wysokiej trawie. Była to stara rybacka krypa, której poszycie wiązała jedynie rdza i morskie porosty. Woda za rufą głucho bulgotała i bił z niej czarny dym. Na pokładzie stała sterta skrzyń, przykryta brudną siecią. Cicho płacząc, nad łodzią krążyła samotna mewa. David poczuł się jeszcze gorzej.

Gregor zatrzymał samochód.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił.

Wzięli walizki, wysiedli i zadrżeli z zimna. David spojrzął na drogę, którą przyjechali, lecz ta już po kilku wirażach i zakrętach rozmywała się w morzu traw i wówczas zdał sobie sprawę, że mogliby tu przyjechać z którejkolwiek strony. Stali na polu w Norfolk, a przed nimi rozciągało się Morze Północne - tyle wiedział. Lecz gdyby nie ten biały wiatrak, równie dobrze mogliby stać nad morzem w Chinach.

- Wesolutko tu, co? - szepnęła Jill.

- Gdzie my jesteśmy?

- Bóg wie. Ostatnie miasto, które widziałam, nazywało się Hunstanton, ale minęliśmy je pół godziny temu. - Jill opatulila się szczelniej kamizelką. - Mam tylko nadzieję, że niedługo dojedziemy na miejsce.

- Dlaczego?

- Bo im szybciej dojedziemy, tym szybciej będę mogła uciec.

Z łodzi zeskoczył jakiś mężczyzna. Był w długich do ud butach i w rybackim golfie. Niemal całą twarz porastała mu broda, czarna jak oczy, które świeciły zza grzywę skołtunionych włosów. Z lewego ucha zwisał mu złoty kolczyk. Dać mu jeszcze zakrzywioną szablę i przepaskę na oko i mógłby uchodzić za pirata z *Wyspy skarbów*.

- Spóźniłeś się, Gregor - powiedział.

- Był duży ruch, kapitanie Krwawy.

- Ten przyptyw jest jeszcze gorszy. To podstępne wody, Gregor. Podstępne wody i podstępne wiatry. - Kapitan splunął w kierunku morza. - A w domu czeka na mnie podstępna żona, więc lepiej się pospieszmy. - Odwiązał linę od pomostu. - Wszyscy na pokład! - krzyknął. - Ty, chłopcze! Wybierz kotwicę.

David spełnił rozkaz, chociaż kotwica była tak ciężka, że ledwo ją udźwignął. Silnik zakaszłał, zaprychał i zza rufy buchnął czarny dym, podobny do tego, który buchał z fajki kapitana. Odbili. Gregor stanął przy skrzyniach pośrodku łodzi, oni zaś stłoczyli się razem na rufie. Twarz Jeffreya przybrała niemiłą, sinawozielony odcień.

- Kiepski ze mnie ż...ż...żeglarz - wyszeptał. Usłyszał to kapitan.

- Nie przejmuj się, chłopcze! - zarechotał. - To kiepska łódź!

Nad wodą pełzła gęsta mgła. Jej trupioblade macki dosięgły łodzi, pochłoneły ją i wessały jak macki ośmiornicy. W jednej chwili zniknęło całe niebo, a wszystkie odgłosy - krzyk samotnej mewy, dudnienie silnika, szum rozcinanych dziobem łodzi fal - były teraz przytłumione i jakby wilgotne. I nagle, tak szybko jak nadciągnęła, mgła uniosła się raptem i rozsunała niczym kurtyna. I wtedy zobaczyli Czarcią Wyspę.

Miała ponad trzy kilometry długości, półtora kilometra szerokości, a na jej wschodnim końcu rósł gęsty las. Na końcu południowym ze wzburzonego morza strzelał w górę stromy klif, kredowobiały na szczycie i błotnistopomarańczowy u podnóża. Zza skały wychodził w morze długi, zakrzywiony cypel i to właśnie tam, do tego cypla, zmierzała ich łódź. Ujrzeni drewniany pomost i otwarty dżip na brzegu. Ale nikt nie wyszedł im na spotkanie, nie widzieli też żadnej szkoły.

- Przygotować się do rzucenia kotwicy! - krzyknął kapitan. Założywszy, że miał na myśli jego, David ponownie dźwignął zakrzywiony kawał żelaza na długim łańcuchu. Kapitan zakręcił kołem sterowym, wrzucił wsteczny bieg i wydał rozkaz. David rzucił kotwicę. W tej samej chwili Jeffrey zwymiotował za burtę.

Przybyli na miejsce.

- Tędy, proszę tędy. To już niedaleko. Jeszcze tylko krótka przejażdżka samochodem.

- Gregor wysiadł pierwszy i potruchtał przodem. Jeffrey ruszył za nim, wlokąc za sobą walizkę. David zaczekał na Jill. Dziewczynka patrzyła na kapitana, który już wybierał kotwicę i odbijał od pomostu.

- Na co tak patrzysz?

- Pewnego dnia możemy potrzebować łodzi - wymamrotała cicho Jill. - Ciekawe, czy kiedykolwiek ją tu zostawia.

- Kapitan Krwawy... - David zadrżał. - Śmieszne nazwisko.

- Tak, tylko dlaczego jakoś mi nie do śmiechu? - Jill odwróciła się i ruszyła pomostem w stronę dżipa.

Jazda do szkoły trwała pięć minut. Droga pięła się stromo do góry, na wierzchołku białego klifu skręcała, a potem wiodła wzdłuż skraju lasu. Jeffrey siedział obok Gregora, kurczowo trzymając się fotela. David i Jill siedzieli z tyłu i podobnie jak on, ze wszystkich sił trzymali się ławki. Ilekroć dżip najechał na jakiś kamień czy wpadł w dziurę - na drodze było pełno i tego, i tego - podskakiwali co najmniej trzydzieści centymetrów w górę, po czym z głuchym łomotem lądowali na siedzeniu. Zanim dotarli na miejsce, David zrozumiał, jak musi czuć się przewożona samochodem sałata. Jednakże na widok szkoły szybko zapomniał o niewygodach podróży.

Była olbrzymia, wyższa niż szersza, najeżona niezliczonymi wieżami, strzelistymi wieżycami, blankami, szczyzącymi zęby gargulcami, wąskimi, zakratowanymi oknami i posepnymi ceglanymi kominami. Wyglądało to tak, jakby architekci, którzy zaprojektowali opactwo westminsterskie, dworzec Wiktorii i gazownię w Brixton, wymieszali swoje szkice i plany, by stworzyć to ponure monstrum. Kiedy dżip zajechał przed drzwi (lite, grube na czterdzieści centymetrów drewno, nabijane stalowymi ćwiekami), wysoko w górze przetoczył się głuchy grzmot i niebo rozcięła rozwidlona nitka błyskawicy.

Gdzieś w oddali zawył wilk.

I wówczas drzwi się powoli otworzyły.

Pan Damortus

Wprogu stała kobieta. W świetle błyskawicy jej twarz była niebieskosina, lecz po chwili nieznajoma uśmiechnęła się i David stwierdził, że jest to zwyczajna kobieta. Mało tego, po spotkaniu z upiornym Gregorem i kapitanem Krwawym sprawiała wrażenie zupełnie normalnej, co dodało mu trochę otuchy. Niska i pulchna, miała pełne policzki i siwe, związane w kok włosy. Była w staromodnej, wiktoriańskiej sukni, a pod jej szyją, na zakładkach wysokiego kołnierzyka, lśniła srebrna brosza. Miała około sześćdziesięciu lat, dużo zmarszczek na twarzy i śmiejące się oczy, przesłonięte okularami do czytania. Przez chwilę przypominała Davidowi babkę. Potem zauważył ciemny wąsik nad jej górną wargą i stwierdził, że przypomina mu też dziadka.

- Dzień dobry! Dzień dobry! - zaszczębiotała, gdy wygramolili się z samochodu. - Ty jesteś David, ty Jill, a ty Jeffrey, prawda? Witajcie w Szkole Pod Wieżycami!

- Stała z boku, żeby mogli przejść, a potem zamknęła drzwi. - Nazywam się Kanabil, pani Kanabil, i jestem tu zarządczynią. Mam nadzieję, że nie mieliście zbyt męczącej podróży.

- Ja tam jestem zmęczony - mruknął Gregor.

- Ciebie nie pytam, ty wstrętna kreaturo - warknęła zarządczyni. - Pytam te przemile dzieci. - Uśmiechnęła się promiennie. - Naszych nowych uczniów!

David rozejrzył się wokoło. Stali w olbrzymim holu o wyłożonych boazerią ścianach, na których wisiały zakurzone obrazy. W głębi były szerokie schody: wiodły na górę, do mrocznego korytarza. Z sufitu zwisał wielki żyrandol, lecz zamiast żarówek paliło się na nim chyba ze sto świec w mosiężnych świecznikach, które głośno trzeszczały i bardzo kopciły, tak że bijący z nich dym skutecznie zagęszczał panujący w holu mrok.

- Pozostałe dzieci jedzą już kolacje - powiedziała pani Kanabil. - Mam nadzieję, że lubicie krwawy pudding. - Uśmiechnęła się promiennie po raz drugi i zanim zdążyli odpowiedzieć, dodała: - Jeffrey i Jill zostawią tu walizki, a ty, Davidzie, pójdziesz tam, pierwsze drzwi na lewo. Pan Damortus chciałby cię widzieć.

- Mnie? - spytał David. - Po co?

- Jak to po co? - Zarządczyni wydawała się szczerze zdumiona. - Żeby cię powitać, oczywiście. Pan Damortus jest naszym wicedyrektorem - kontynuowała.

- Lubi witać nowych uczniów i zawsze robi to osobiście. Ale pojedynczo. Z Jill i Jeffreyem porozmawia jutro.

Jill zerknęła na Davida i wzruszyła ramionami. David zrozumiał, co chciała mu powiedzieć. Pani Kanabil robiła wrażenie osoby bardzo przyjaznej, lecz miała w głosie coś, co mówiło, że lepiej z nią nie zaczynać. Patrzył, jak jego nowi przyjaciele idą za nią przez hol, jak przechodzą łukowatym przejściem, jak znikają w korytarzu, po czym ruszył w stronę gabinetu wicedyrektora. Zastanawiał się, dlaczego zaschło mu w ustach.

- Pewnie dlatego, że mam stracha - wymamrotał.

I zapukał do drzwi.

Dobiegł go czyjś głos, więc wzięwszy głęboki oddech, przekręcił klamkę i wszedł do środka. Znalazł się w gabinecie. Całą ścianę po lewej stronie zajmowała wypełniona książkami półka, na ścianie po prawej wisiały obrazy, a przy tej naprzeciwko drzwi stało wielkie lustro. W lustrze było coś bardzo dziwnego. David zauważył to natychmiast, lecz nie potrafił powiedzieć, co to jest. Pęknięte w rogu, miało złoconą, trochę wypaczoną ramę. Ale nie, nie chodziło ani o ramę, ani o pęknięcie. Chodziło o coś innego, o coś, co sprawiło, że

włosy na karku stały mu tak bardzo, jakby chciały wyszarpnąć cebulki ze skóry i uciec z gabinetu, gdzie pieprz rośnie.

Z trudem odwrócił wzrok. Meble. Były stare i mocno zniszczone. To go nie zaskoczyło. Wszyscy nauczyciele lubili stare, zniszczone meble, chociaż pajęczyny i gruba na palec warstwa kurzu to już chyba lekka przesada. Przy biurku naprzeciwko drzwi, na tle czerwonej welwetowej zasłony, siedział mężczyzna. Czytał jakąś książkę. Gdy David wszedł, spojrzał na niego z twarzą bez wyrazu i rzucił:

- Usiądź proszę.

Trudno było powiedzieć, w jakim jest wieku. Skórę miał bladą i dziwnie gładką, jak woskowa figura. Był w zwyczajnym czarnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie. Kiedy David usiadł, mężczyzna zamknął książkę i zabębnił w nią długimi, kościstymi palcami. Był nieprawdopodobnie chudy. Ruchy miał powolne i wyważone. Zachowywał się tak, jakby najłżejszy podmuch wiatru czy lada kichnięcie mogło roztrzaskać go na sto kawałków.

- Nazywam się Damortus. Bardzo się cieszę, że nareszcie przyjechałeś, Davidzie. Sprawileś nam wszystkim wielką radość.

David cieszył się chyba mniej, lecz postanowił mu tego nie mówić.

- Przyjmij moje gratulacje - ciągnął pan Damortus. - Na pierwszy rzut oka nasza szkoła wyda ci się trochę niezwykła. Może nawet... nienormalna. Ale zapewniam cię, że to, czego możemy cię tu nauczyć, co możemy ci zaoferować, przekroczy twoje najśmielsze marzenia. Rozumiesz?

- Tak, panie dyrektorze.

Pan Damortus uśmiechnął się lekko, jeśli uśmiechem można nazwać to, że zadrgała mu górna warga, odsłaniając równe, białe zęby.

- Nie walcz z nami, Davidzie - kontynuował. - Spróbuj nas zrozumieć. Jesteśmy... inni, lecz bardzo podobni do ciebie. Dlatego zostałeś wybrany. Jesteś siódmym synem siódmego syna. Jesteś kimś wyjątkowym. Jak bardzo wyjątkowym, o tym się wkrótce przekonasz.

David kiwnął głową, kątem oka zerkając na drzwi. Nic z tego nie zrozumiał, lecz nie ulegało wątpliwości, że facet jest zdrowo świrnięty. To prawda, miał sześć starszych siostr i sześć ponurych ciotek (siostr ojca), które kupowały mu na Mikołaja głupie, nieprzydatne prezenty i poszturchiwały go, jakby był z plasteliny. I tylko dlatego miałby być kimś wyjątkowym? Został wybrany? Przez kogo? Do czego? Gdyby nie wyrzucono go z Beton College, nigdy w życiu nie usłyszałby o Szkole Pod Wieżycami.

- W odpowiednim czasie wszystko zrozumiesz - powiedział pan Damortus, jakby czytał w jego myślach. I prawdopodobnie czytał. David nie zdziwiłby się, gdyby wicedyrektor zerwał z twarzy maskę, wyjaśniając, że pochodzi z Wenus. - Teraz najważniejsze jest to, że nareszcie do nas dołączyłeś. Że przyjechałeś. Że jesteś tam, gdzie twoje miejsce.

Pan Damortus wstał i obszedł biurko. Na brzegu biurka leżała gruba księga w czarnych okładkach, a obok niej staromodne gęsie pióro. Pan Damortus otworzył księgę, poślinił palec i zaczął przerzucać kartki. David wyciągnął szyję. Z tego, co widział, księga zawierała listę nazwisk spisanych dziwnym, brązowym atramentem. Pan Damortus doszedł do pustej strony i wziął pióro.

- Mamy tu taki stary zwyczaj - wyjaśnił. - Każdy nowy uczeń wpisuje swoje nazwisko w szkolnym rejestrze. Razem z tobą i twoimi przyjaciółmi będzie was w sumie sześćdziesięcioro pięcioro. Sześćdziesiąt pięć to pięć razy trzynaście, Davidzie. Bardzo dobra liczba.

David nie miał zielonego pojęcia, dlaczego sześćdziesiąt pięć ma być lepsze od sześćdziesięciu sześciu czy od sześćdziesięciu czterech, ale nie zamierzał z nim polemizować. Zamiast tego, sięgnął po pióro. I właśnie wtedy to się zdarzyło.

On wyciągnął rękę, pan Damortus gwałtownym ruchem podniósł pióro i ostry czubek stalówki dźgnął Davida w kciuk, raniąc go do krwi. Chłopiec głośno krzyknął i włożył sobie palec do ust.

- Przepraszam. - Pan Damortus powiedział to tak, jakby wcale nie było mu przykro. - Skaleczyłeś się? Jeśli chcesz, poproszę panią Kanabil, żeby ci go opatrzyła.

- Nie, nic mi nie jest - burknął gniewnie David. Nie miał nic przeciwko temu, że pan Damortus prowadzi z nim jakąś idiotyczną grę, miał to gdzieś. Ale nie lubił, kiedy traktowano go jak małe dziecko.

- W takim razie bądź tak dobry i wpisz swoje nazwisko. O tu. - Pan Damortus podał mu pióro, którego stalówka była teraz czerwona od krwi. - Atrament nie będzie nam chyba potrzebny.

David ujął pióro. Poszukał wzrokiem kałamarza, lecz kałamarza na biurku nie było. Wicedyrektor pochylał się, dysząc mu w ucho, a on pragnął tylko jak najszybciej uciec z gabinetu, zjeść coś i paść na łóżko. Umazana krwią stalówka zaskrzeczała po białym, chropowatym papierze.

- Znakomicie! - Pan Damortus odebrał mu gęsie pióro i obrócił księgę. - Możesz już iść. W holu czeka pani Kanabil.

David ruszył do drzwi, lecz wicedyrektor go zatrzymał.

- Bardzo chcę, żebyś był tu szczęśliwy - powiedział.. - Twoje dobro leży na sercu naszym wszystkim nauczycielom. Jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc. Obiecuję, że kiedy się z tym pogodzisz, już nigdy nie obejrzyś się za siebie. Wierz mi.

David mu nie wierzył, lecz nie miał najmniejszego zamiaru o nic go wypytywać. Z trudem powstrzymując się od biegu, podszedł do drzwi. Szedł szybko, bardzo szybko, ponieważ już wiedział. Wiedział, co jest nie tak z lustrem. Zobaczył to zaraz po tym, jak podpisawszy się własną krwią, lekko odwrócił głowę.

W lustrze odbijał się cały pokój. Odbijało się wszystko: biurko, książki, zasłony, meble, dywan i on, David.

Nie odbijał się tylko pan Damortus.

Dzień pierwszy

7.00

Obudził mnie przeraźliwy dzwonek. Sypialnia mieści się w jednej z najwyższych wieżyc. Jest zupełnie okrągła. Gdyby spojrzeć na nią z góry, przypominałaby cyferblat, a łóżka stałyby tam, gdzie na cyferblacie zegara są cyfry. Ja śpię na godzinie siódmej (tak się przypadkiem złożyło, że piszę to też o siódmej). Jeffrey tuż obok mnie, na szóstej. Zrzucił poduszkę, skłębził prześcieradło i jakimś cudem zdołał zawiązać supeł na kocu. Jill nie ma. Dziewczyny śpią w innym skrzydle szkoły.

7.30

Jestem już umyty i ubrany. Jeden z chłopców wskazał mi drogę do łazienki. Powiedział, że nazywa się William Rufus, co było trochę dziwne, bo widziałem naszywkę na jego piżamie, a tam było napisane, że nazywa się James Stephens. Spytałem go, dlaczego nosi cudzą piżamę, a on tylko się uśmiechnął, jakby wiedział o czymś, o czym ja nie wiem. I chyba tak jest.

Tutejsi chłopcy mi się nie podobają. Co prawda nie zadzierają nosa jak ci z Beton, ale są jacyś tacy... inni. Po capstrzyku nikt nie rozmawiał. Nikt nie bił się na poduszki. Wszyscy od razu poszli spać. W Beton każdemu nowemu uczniowi smarowali łóżko szarlotką, a tutaj dosłownie nikt się mną nie zainteresował. Jakby wcale mnie tu nie było (bardzo bym tego chciał).

7.45

Śniadanie. Jajka na boczku. Ale boczek był surowy, a jajka na pewno nie pochodziły od kury. Straciłem apetyt.

9.30

William Rufus - jeśli to jego prawdziwe nazwisko - zaprowadził mnie na moją pierwszą lekcję. Rufus jest niski i chudy, ma zadarty nos i oczy niebieskie jak niemowlak. W Beton na pewno by się nad nim znęcali, ale tu nie znęcają się chyba nad nikim. Są na to za grzeczni. Rany, co ja piszę! Kto kiedy słyszał o grzecznych uczniach?

W drodze do klasy odbyłem z Williamem dziwną rozmowę.

- To łacina - powiedział.

- Nie znoszę łaciny - odrzekłem.

Myślałem, że połączy nas przynajmniej wspólna nienawiść do łaciny, ale się myliłem.

- Tu ją polubisz - odparł. - Pan Damortus to świetny nauczyciel.

Spojrzał na zegarek.

- Chodźmy szybciej, bo się spóźnimy.

- Jaka jest kara za spóźnienie? - spytałem.

- Tu nie ma kar.

Świetny nauczyciel łaciny? Szkoła bez kar? Czy ja zwariowałem?

Ale fakt, lekcja nie była taka zła. W Beton College uczyli nas, że łacina to „martwy język”; tak samo jak nasz nauczyciel. Tymczasem pan Damortus mówi po łacinie jak Owidiusz! Uczniowie też! Pod koniec lekcji gawędzili jak starzy kumple i nikt ani słowem nie wspomniał o Juliuszu Cezarze czy o najeździe na Galię.

I jeszcze coś. Był słoneczny dzień, tymczasem pan Damortus prowadził lekcję przy szczelnie zamkniętych okiennicach, ze świeczką na katedrze. Spytałem o to Rufusa.

- On nie lubi słońca - powiedział. To znaczy myślę, że tak powiedział, bo cały czas zasuwiał po łacinie.

11.00

Na przerwie widziałem się krótko z Jill. Powiedziałem jej, że piszę pamiętnik, a ona opowiedziała mi, jak minął dzień. Z jakiegoś powodu przydzielili ją do innej klasy.

- Miałam ceramikę z panem Humusem.

- Lepiliście garnki? - spytałem. - Kręciłaś kołem?

- Nie trzeba niczym kręcić, i bez tego są pokręceni. Facet kazał nam lepić figurki z wosku. Mężczyzn i kobiet. I używaliśmy prawdziwych włosów.

Pokazała mi swój kciuk. Ona też skaleczyła się piórem. Z panem Damortusem rozmawiała zaraz po śniadaniu.

- Ja idę do niego p...p...po lunchu - powiedział Jeffrey.

- To lepiej weź ze sobą atrament - poradziła mu Jill.

12.30

Angielski z panną Pedicure.

Panna Pedicure musi mieć co najmniej sto lat. Prawie nic nie widzi i jest zupełnie ślepa. Moim zdaniem nie rozpada się tylko dlatego, że jest cała obandażowana. Dosłownie cała, od szyi po palce u stóp. Bandaże wystają jej z rękawa i zza kołnierzyka. Do krzesła szła chyba z kwadrans, a kiedy wreszcie usiadła, buchnął z niej kłęb kurzu i pyłu.

Za to ma idealne zęby. Rzecz w tym, że trzyma je w szklance z wodą na katedrze.

Uczyła nas o Szekspirze. Mówiła o nim tak, jakby znała go osobiście.

13.15

Lunch. Mielone. Pytanie z czego? Chyba umrę z głodu.

15.00

Mieliśmy mieć francuski, ale nie było nauczyciela. Spytałem Rufusa dlaczego.

WILLIAM: Dzisiaj musi być pełnia. Pan Lupus nie uczy, kiedy jest pełnia.

JA: Jest chory?

WILLIAM: Powiedzmy, że nie jest zupełnie... sobą.

Mieliśmy jakieś książki, ale nic z nich nie rozumiałem, dlatego prawie cały czas pisałem pamiętnik i przyglądałem się swoim nowym kolegom. Większość znam już z nazwiska. Marion Grant - piegowaty rudzielec o wielkich zębach. Bessie Dunlop - szczupła i ładna pod warunkiem, że patrzy się na nią z daleka. Roger Bacon - Azjata. Odkąd to Roger Bacon jest azjatyckim nazwiskiem?

Zresztą te nazwiska zupełnie do nich nie pasują. Bessie po prostu nie wygląda jak Bessie. Chryste, dlaczego się uparłem, że ich wszystkich łączy jakaś straszna tajemnica i że nie znamy jej tylko my, Jill, Jeffrey i ja?

16.30

Piłka nożna. Graliśmy nadmuchanym świńskim pęcherzem. Strzeliłem bramkę, ale niezbyt się z tego cieszyłem. Dryblować świńskim pęcherzem. Koszmar.

18.00

Resztę świni zjedliśmy na podwieczorek. Obracała się na rożnie z jabłkiem w pysku. Udało mi się przynajmniej dorwać jabłko.

18.30

Znowu francuski z Monsieur Lupusem, którego nie ma. Kazano nam coś powtarzać, ale ja zamiast powtarzać, znowu piszę pamiętnik. Zauważyłem jeszcze coś. Pewnie widziałem to od samego początku, ale dopiero teraz uświadomiłem sobie, co widzę.

Wszyscy uczniowie noszą pierścień. Taki sam, identyczny. Złotą obrączkę z czarnym kamieniem. Co to, u licha, znaczy? Słyszałem o szkolnych czapkach i szkolnych tarczach, ale szkolne pierścienie?

Przeczytałem zapiski z pierwszego dnia. Są bez sensu. To tak, jakbym oglądał wszystko na szybkim podglądzie wideo. Widzę fragmenty obrazu, lecz nie jego całość.

Ale gdybym zaczął spisywać dokładnie wszystko, powstałaby z tego gruba księga. Coś mi mówi, że powinienem zostawić sobie trochę czasu na spisanie ostatniej woli.

19.30

Godzina wolnego przed pójściem spać. Ani śladu Jeffreya i Jill. Poszedłem się przejść. Za szkołą jest boisko, a za boiskiem las, najgęstszy, jaki w życiu widziałem. Może nie jest zbyt duży, ale drzewo stoi tam przy drzewie, tworząc zwarty mur. Za szkołą jest też kaplica i mały cmentarz.

Zobaczyłem tam Gregora, który siedział na nagrobku, paląc papierosa.

- Jeszcze kilka i skończy pan pod nim - powiedziałem. To miał być żart, ale Gregor nawet się nie uśmiechnął.

20.15

Przypadkiem widziałem Jeffreya z Rufusem. Gadali ze sobą jak najlepsi kumple. Czyżby mnie to niepokoiło?

20.40

W łóżku. Zapiąć minut zgaszą światło.

Wieczorem się wykąpałem. Łazienka jest przedpotopowa. Kiedy odkręci się krany, woda leci z nich jak Niagara, z tym że jest bardziej brązowa. Wyszedłem z wanny brudniejszy, niż do niej wszedłem. Następnym razem wezmę prysznic.

Kiedy skończyłem pisać ostatni ustęp, włożyłem do pamiętnika ołówek i wszystko razem schowałem do szafki przy łóżku. Kiedy wróciłem, pamiętnik leżał na swoim miejscu, lecz ołówek się z niego wytoczył.

KTOŚ TO CZYTAŁ, KIEDY NIE BYŁO MNIE W POKOJU!

Dlatego nie będę już pisał pamiętnika, nie w tej szkole. Coś mi mówi, że lepiej jest zatrzymać myśli dla siebie. Pytania:

Czy oni wszyscy mają fałszywe nazwiska? Jeśli tak, to dlaczego?

Co oznaczają te złote pierścienie z czarnym kamieniem?

I co się tu tak naprawdę dzieje? A ten, kto czyta mój pamiętnik, niech się nie martwi. Na pewno to wszystko wyjaśnię.

Po omacku

Wbrew swemu postanowieniu, nazajutrz też się niczego nie dowiedział. Zajęcia w szkole przebiegały normalnie - śniadanie, łacina, historia, przerwa, matematyka, lunch, geografia, piłka nożna - z tym że w tej normalności było coś nienormalnego, jakby te wszystkie lekcje i książki stanowiły kamuflaż dla czegoś, co wychodziło na światło dzienne tylko wtedy, kiedy nikt tego nie widział.

Było wpół do ósmej wieczorem. David pisał wypracowanie w szkolnej bibliotece, w pomieszczeniu tym bardziej niezwykłym, że nie było w nim żadnych książek. Zamiast półek, na ścianach wisiały głowy wypchanych zwierząt o pustych, szklanych oczach. Bez przerwy gapili się na niego dwa krety, pancernik i guziec, dlatego trudno mu było skoncentrować się na epoce elżbietąńskiej.

Po dwudziestu minutach miał tego dość. Nie interesowała go Hiszpańska Armada i podejrzewał, że pani Pedicure (uczyła i angielskiego, i historii) też nie wykazuje nią większego zainteresowania. Popatrzył na to, co napisał. Na kartce było więcej kleksów i skreśleń niż tekstu. Westchnął, zmiął ją w kulkę i rzucił do kosza. Spudłował i kulka trafiła w wielkie lustro. Westchnął jeszcze ciężiej i poszedł ją podnieść. Sęk w tym, że kulki tam nie było. Poszukał za koszem, pod krzesłami, zajrzał nawet pod dywan przed lustrem. Kulka po prostu zniknęła. Niemożliwe, pomyślał, kulki papieru nie znikają bez śladu. I nagle, bez żadnego powodu, poczuł się nieswojo. Zerknął przez ramię. Guziec szczyrzył do niego zęby. David wybiegł z biblioteki, zatrząskując za sobą drzwiami.

Do głównego holu wiódł wąski, łukowato sklepiony korytarz. Szedł tedy pierwszego dnia, zaraz po przyjeździe do szkoły. Po lewej stronie były drzwi do gabinetu pana Damortusa i David przystanął przed nimi, wspominając tamte chwile. I wtedy usłyszał te głosy.

Dochodziły zza ciemnych drzwi gabinetu, na których złotymi literami wymalowano pojedyncze słowo: DYREKTORZY. A więc Szkoła Pod Wieżycami miała dwóch dyrektorów! Odnotował ten fakt z niejakim zdumieniem, ponieważ jak dotąd nie widział żadnego z nich. Szybko się rozejrzał. Pozostali uczniowie wyszli z biblioteki na długo przed nim i był w korytarzu zupełnie sam. Przyklęknął, udając, że rozwiązało mu się sznurowadło.

-...adaptował się bardzo dobrze. - Ten głos rozpoznał natychmiast. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że te miękkie, jakby zakurzone dźwięki dobywają się z ust pana

Damortusa. - Dziewczynka sprawiła nam trochę kłopotów podczas zajęć z ceramiki, ale można było tego oczekiwać.

- Ale podpisali? Wszyscy? - Wysoki, na wpół zduszony dyszkanat mężczyzny, który mówiąc, próbuje poluznić zbyt mocno zawiązany krawat.

- Nie miałem z nimi najmniejszych problemów, panie Laterg. - Pan Damortus roześmiał się cichym smutnym śmiechem. - Jeffrey, ten, który się jąka, podpisał jako ostatni. Przyszedł z własnym ołówkiem. I z dwoma kałamarzami! W końcu musiałem go zahipnotyzować. Potem było już łatwo.

- Myśli pan, sprawi nam kłopoty? - Ten głos był zdecydowanie najcichszy. Drugi dyrektor mówił prawie szeptem.

- Nie, panie Rankor - odrzekł pan Damortus. - Moim zdaniem z nim pójdzie najłatwiej. Nie, nie. To Eliot mnie martwi.

- Dlaczego?

- Sam nie wiem. Jest silny, niezależny...

- Właśnie takich najbardziej potrzebujemy.

- Oczywiście, ale...

David dałby wszystko, żeby usłyszeć coś jeszcze, ale właśnie wtedy nadeszła pani Kanabil. Chciała skrócić do biblioteki, lecz zobaczyła go, przystanęła, poprawiła okulary i szybko zamrugła.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Nie. - Niepewnym gestem David wskazał buty. - Sznurowadło...

- Związujesz? - rzuciła z uśmiechem pani Kanabil.

- Bardzo mądrze, mój drogi, bardzo mądrze. Chyba nie chciałbyś się potknąć i złamać sobie nogi, prawda? Ale wiesz, to chyba nie jest najlepsze miejsce. Ktoś mógłby pomyśleć, że podsłuchujesz pod drzwiami gabinetu dyrektorów i już w pierwszym tygodniu nauki najadłbyś się wstydu, prawda?

- Tak, właśnie. - David wstał. - Bardzo panią przepraszam. - Minęła go i weszła do gabinetu, a on odszedł stamtąd najszybciej, jak mógł. Dalby sobie uciąć prawą rękę, żeby usłyszeć, o czym teraz rozmawiają, ale gdyby nakryto go pod drzwiami po raz drugi, pewnie nie uwierzyłiby w rozwiązane sznurowadło.

Poszedł poszukać Jeffrey'ego i Jill. Znalazł ich przed pokojem nauczycielskim. Jill przyglądała się skrytkom na listy, oznaczonych nazwiskami pracowników szkoły.

- Widziałeś skrytkę Monsieur Lupusa? - spytała.

- Nie, bo co?

- Bo leży w niej martwy gołąb. - Z obrzydzeniem wyciągnęła rękę. - Tam. - Ptak rzeczywiście był martwy.

- Chyba jakieś zwierzę go zagryzło.

- Co on tu robi? - spytał David.

- Spytaj Monsieur Lupusa - odrzekła Jill. - Jeśli k...k...kiedyś przyjdzie - dodał Jeffrey.

Ruszyli razem w głąb korytarza. Po jednej ścianie ciągnął się rząd szafek, po drugiej były drzwi do klas. Minęło ich dwóch chłopców w drodze do sypialni. Do capstrzyku mieli jeszcze prawie całą godzinę, tymczasem wyglądało na to, że większość uczniów poszła już spać. Panująca w szkole cisza pasowała bardziej do muzeum albo do klasztoru. W ciągu całego dnia ani razu nigdzie nie trzasnęły drzwi czy zamykana ławka. Co się w tej szkole działo?

Weszli do pustej klasy. David był tam pierwszy raz, więc rozejrzał się ciekawie. Na ścianach wisiały plansze ze zwierzętami przedstawionymi od zewnątrz i od wewnątrz. Zamiast katedry stał tam długi stół z marmurowym blatem, zastawiony jakimiś przyrządami, palnikami, małymi tyglami i odczynnikami. W klatce na końcu stołu kulił się biały szcurek, a ze szklanego pojemnika spoglądały na nich dwie smutne żaby. W kącie klasy stał szkielet jakiegoś zwierzęcia.

- To chyba pracownia biologiczna - szepnął David.

- Akurat. - Jill pokręciła głową. - To wszystko stoi tak od samego rana.

- Miałas tu 1...1...lekcję? - spytał Jeffrey.

- Tak, gotowania.

Mielony. David z trudem przełknął ślinę. Jill usiadła w ławce.

- Porównajmy nasze spostrzeżenia - zaproponowała.

- Właśnie - poparł ją David. - Z pierwszych dwóch dni w szkole.

- Jeffrey, ty pierwszy.

Jeffrey miał niewiele do powiedzenia. Było mu bardzo źle, najgorzej z nich trojga, i wciąż nie mógł dojść do siebie po spotkaniu z panem Damortusem. Nic nie zrobił, niczego się nie nauczył, a przez całą ostatnią lekcję pisał list do matki, błagając, żeby go stąd zabrała. Kłopot w tym, że nigdzie nie mógł go nadać.

- Nienawidzę tej szkoły - mówił. - Nikogo tu nie k...k...katują, to f...f...fakt, ale jest inaczej, niż myślałem. Wszyscy n...n...nauczyciele to wariaci. I nikt nie naśmiewa się z t...t...tego, że się jąkam.

- Przecież nie lubisz, jak się z ciebie naśmiewają - odrzekł David.

- Nie, ale gdyby się n...n...naśmiewali, byłoby normalniej.

- Tu nic nie jest normalne - powiedziała Jill. - Kazali nam podpisać się własną krwią. Nigdy w życiu nie widziałam takich lekcji. No i te pierścienie...

- Właśnie, też je zauważyłem - wtrącił David.

- Wszyscy noszą takie same pierścienie. Na znak jakiegoś przymierza czy co?

- I jeszcze coś. - David opowiedział im o swoich odkryciach, poczynając od tych tajemniczych piżam. - Może się mylę - dodał - ale mam wrażenie, że oni wszyscy używają fałszywych nazwisk.

- W mojej klasie jest chłopak nazwiskiem Godeon Penman - mruknęła Jill.

- Właśnie. Co to za nazwisko? Albo Damortus czy Kanabil.

- Ale p...p...po co mieliby używać fałszywych nazwisk? - spytał Jeffrey.

- A po co kazali nam wpisywać nasze krwią? - odparowała Jill.

- O tym też się czegoś dowiedziałem. - David streścił im rozmowę, którą podsłuchał pod drzwiami gabinetu dyrektorów. Nie chciał dobijać Jeffrey'a i nie wspomniał, że pan Damortus uważa go za kogoś, z kim pójdzie im najłatwiej. Zresztą wicedyrektor miał chyba rację. - Moim zdaniem, im szybciej stąd zwiejemy, tym lepiej - skonkludował. - W tej szkole dzieje się coś paskudnego. Jeśli tu zostaniemy, będzie z nami źle.

Jeffrey spojrzał oskarżycielsko na Jill.

- Mówiłaś, że u...u...uciekiesz.

-I ucieknę. - Jill zerknęła w okno. - Ale nie dzisiaj. Chyba idzie burza.

Burza rozpetęła się kilka minut później. Tym razem nie było błyskawic, za to ulewa przeszła samą siebie. Wyglądało to tak, jakby morze wystąpiło z brzegów, jakby na szkołę zwałił się gigantyczny mur wody. Zerwał się potężny wiatr, który orał ziemię i gruchotał ściany. Powyrywał niedomknięte okiennice, zdmuchnął nagrobek na cmentarzu i roztrzaskał go w proch. Złamał na pół olbrzymi dąb i wgniół w ziemię jego nagie gałęzie.

To właśnie trzask pękającego dębu obudził Davida. Chłopiec poszperał w szafce, znalazł latarkę, zapalił ją i skierował na zegarek: kilka minut po północy. Opadł na poduszkę i spojrzał w okno. W strugach deszczu świecił księżyc. Była pełnia. Jako dziecko nigdy nie bał się burzy, dlatego ze zdumieniem stwierdził, że cały się trzęsie.

Ale nie, nie trząśł się z powodu pogody. Zapalając i gasząc latarkę, kątem oka zauważył coś, co zarejestrował dopiero teraz. Gwałtownie usiadł, ponownie pstryknął przełącznikiem latarki i skierował ją przed siebie. Tak, wszystko się zgadzało.

Na łóżku obok niego spał Jeffrey z głową pod kocem. Ale poza nimi w sypialni nie było nikogo. Światło zgaszono o wpół do dziesiątej, a wówczas wszyscy chłopcy spali. Teraz ich łóżka były puste, a koce odrzucone. Poświecił na krzesła. Ubrania też zniknęły.

Po cichu wstał. Włożył szlafrok i papucie, podszedł do drzwi i przekręcił klamkę. W korytarzu było ciemno. Wszędzie panowała cisza, głębsza i bardziej przerażająca niż kiedykolwiek dotąd.

Zajrzał do sąsiedniej sypialni i do sypialni za nią. Wszędzie to samo: puste łóżka, puste krzesła. Wciąż lało. Słyszał, jak deszcz bębni w szyby. Ponownie spojrzął na zegarek, przekonany, że musiał się pomylić. Dwadzieścia po dwunastej. Gdzie oni się podziali?

Serce waliło mu jak młotem, jakby chciało zawrócić go do sypialni i pchnąć z powrotem na łóżko. Ale nie, David był już w pełni rozbudzony i wiedział, że wyjaśni tę sprawę, nawet gdyby miało go to zabić. I pewnie zabije, pomyślał.

Szedł na palcach, krzywiąc się, ilekroć nastąpił na skrzypiącą deskę. Wreszcie dotarł do czwartej sypialni. Zapalił latarkę i oświetlił klamkę.

Z aksamitnej ciemności wychynęła ręka...

...i spoczęła na jego ramieniu.

David poczuł, że żołądek kurczy mu się do rozmiarów małego groszku. Otworzył usta do przeraźliwego krzyku, lecz nie krzyknął, gdyż w ostatniej chwili włożył sobie latarkę między zęby. Cud, że jej nie połknął. Potem powoli odwrócił się z rozjarzoną na czerwono szyją, gdyż latarka świeciła mu w głąb gardła.

Stała przed nim Jill, też w szlafroku i w papuciach. Była bardziej przerażona od niego.

- Gdzie oni są? - szepnęła. - Gdzie się podziali?

- Nghhh... - David przypomniał sobie o latarce i *wyjął* ją z ust. - Nie wiem - wychrypiał. - Właśnie się rozglądam.

- Widziałam, jak wychodzili. - Jill westchnęła. Wyraźnie jej ulżyło, że David nie śpi, że wstał, że jest z nią w korytarzu. - Dwadzieścia minut temu. Jakaś dziewczyna za głośno zamknęła drzwi i się obudziłam. Chwilę odczekałam i poszłam za nimi.

- Dokąd?

- Widziałam, jak wchodzi do biblioteki. Wszyscy. Cała szkoła. Podśluchiwałam pod drzwiami, ale nic nie słyszałam, więc postanowiłam wejść. No i weszłam, tylko że nikogo tam nie było. - Jill wzięła głęboki oddech. David czuł, że dziewczynka zaraz się rozplacze. - Oni po prostu zniknęli.

David zmarszczył czoło. Po podwieczorku on też był w bibliotece: próbował napisać wypracowanie, siedząc pod głowami wypchanych zwierząt. Cała szkoła by się tam nie zmieściła, to niemożliwe. Oprócz stołu, lustra, sześciu krzeseł i tych nieszczęsnych głów nie było tam dosłownie niczego. Aha, były jeszcze drzwi, ale tylko jedne. Skoro więc nie wrócili na korytarz, gdzie się podziali?

- Może wyszli na dwór? - rzucił. - Przez okno. Jill łypnęła na niego spode łba.

- W taką pogodę? Zresztą okna są za wysoko, sprawdzałam.

- W takim razie muszą być gdzieś w szkole.

- Nie. - Jill oparła się o ścianę, osunęła się po niej i usiadła na podłodze. Była kompletnie wyczerpana, i to nie tylko z niewyspania. - Szukałam, wszędzie. W klasach, w stołówce, w pokoju nauczycielskim, wszędzie. Ich tu nie ma.

- Przecież muszą gdzieś być! - syknął David. - Nie mogli tak po prostu... wyparować!

Jill nie odpowiedziała. David usiadł i objął ją za ramię. Milczeli. W uszach pobrzmiwały mu wypowiedziane przed chwilą słowa: „Przecież muszą gdzieś być! Nie mogli tak po prostu... wyparować!”

Ale siedząc w pustym, ciemnym korytarzu, wiedział, że się myli.

Chociaż zdawało się, że to niemożliwe, oprócz nich w Szkole Pod Wieżycami nie było nikogo.

Boże Narodzenie

Trzy dni przed Bożym Narodzeniem zaczął padać śnieg i do pierwszego dnia świąt zasypał całą wyspę. Ziemia była biała, białe było morze. Trudno było dostrzec, gdzie kończy się jedno i zaczyna drugie, a stojąc na otwartej przestrzeni, czuło się jak samotna literka na bielutkiej kartce papieru w kopercie z niewysłanym listem.

Szkoła nie miała centralnego ogrzewania. W otwartych kominkach paliły się za to olbrzymie kłody drewna, które trzeszczały i głośno syczały, rozwścieczone, że muszą dzielić się ciepłem z innymi. Szyby zaparowały, a na wpół zamrożone rury drżały, jęczały i gulgotały, ilekroć próbowała przecisnąć się nimi woda. Kolonia nietoperzy, która mieszkała w jednej z północnych wieżyc, przeniosła się na dół, do ciepła, by ostatecznie osiedlić się w stołówce. Nikt na to nie narzekał, jednak David czuł się dość dziwnie, gdy musiał jeść na oczach setki gacków zwisających do góry nogami z sufitu.

Nie licząc nietoperzy i śniegu, nic się w szkole nie zmieniło. Początkowo David był trochę zaskoczony, że nikt nie wspomina o świątach ani się nimi nie cieszy. Przygnębiony, po kilku dniach jakoś się z tym pogodził. Raz w tygodniu na wyspę przypląwał kapitan Krwawy, ale ponieważ ani nie przywoził, ani nie zabierał żadnych listów, nie było też świątecznych kart. Ani kart, ani choinki, ani bombek, ani żadnych świecidełek. Zobaczył kiedyś panią Kanabil z naręczem ostrokrzewu, co podniosło go trochę na duchu - przynajmniej do lunchu, kiedy to przełknął pierwszą łyżkę ostrokrzewowej zupy. Prezentów oczywiście też nie było.

Wszędzie leżał śnieg, tymczasem nikt nie rzucał się śnieżkami, a jedynym bałwanem, jakiego tam widział, był Gregor, który tuż przed nocną śnieżycą przysnął na cmentarnym nagrobku i odtajał dopiero nad ranem.

Tylko jeden nauczyciel wspomniał o Bożym Narodzeniu: pan Humus od ceramiki i religioznawstwa. Pan Humus, niski mężczyzna o kędzierzawych włosach i starannie przystrzyżonych wąsach, był jedynym normalnie wyglądającym nauczycielem w szkole. I najmłodszym, bo miał około trzydziestki. Ronald Edward Humus. David poczuł się trochę nieswojo, kiedy to samo nazwisko zobaczył kiedyś na jednym z nagrobków na szkolnym cmentarzu - „Zginął w morskich odmętach u brzegów Czarnej Wyspy: 1955-1985”. Założył, że to jego krewny, ale nie dało się ukryć, że od pana Humusa bił bardzo silny zapach morskich wodorostów.

- Boże Narodzenie ma oczywiście niewiele wspólnego z chrześcijaństwem. - Pan Humus obdarzył klasę upiornym uśmiechem; inaczej nigdy się nie uśmiechał. - Na długo przed nastaniem chrześcijaństwa, pod koniec grudnia urządzano liczne festyny i zabawy, choćby rzymskie Saturnalia czy perskie „Narodziny Słońca”. Na północy zaś obchodzono święto złych duchów, ponieważ to właśnie w Boże Narodzenie martwi wstawali z grobu.

David nic o tym nie wiedział, lecz musiał przyznać, że bożonarodzeniowy Londyn, te wszystkie świecidelka, Święte Mikołaje w sklepach, te robione w ostatniej chwili zakupy, te słodkie ciasteczka, puddingi, te stare filmy w telewizji też nie miały nic wspólnego z prawdziwym chrześcijaństwem.

Pierwszy dzień świąt zaczął się zwyczajnie, jak każdy inny: łazienka, śniadanie, trzy lekcje i lunch. Ale z jakiegoś powodu popołudniowe zajęcia odwołano i David i Jill mieli wolne. Wszyscy pozostali uczniowie jak zwykle poszli spać. W czasie wolnym nic innego nie robili: po prostu spali. A potem, późną nocą, wstawali i szli do biblioteki. I znikali.

Postanowiwszy wyjaśnić tę tajemnicę, David i Jill śledzili ich kilka razy, lecz na próżno. Problem polegał na tym, że nie mogli ich śledzić niepostrzeżenie i zanim otworzyli drzwi, w bibliotece nie było już nikogo. Pewnego popołudnia dokładnie przeczesał calutkie pomieszczenie, przekonani, że musi tam być tajemne przejście. Ale wszystkie ściany zbudowano z twardej cegły. Jedną z nich zajmował olbrzymi kamienny kominek, a przy drugiej stało wielkie lustro w brązowej ramie, ozdobionej brązowymi kwiatami. I chociaż David naciskał, przyciskał i poszturchiwał głowy wypchanych zwierząt, chociaż Jill majstrowała przy lustrze i próbowała nawet wejść do komina, nie znaleźli absolutnie niczego.

A gdzie był wtedy Jeffrey?

Wraz z upływem czasu Jeffrey wyraźnie się zmieniał, co bardzo Davida martwiło. Wciąż pobrzmiwały mu w uszach słowa pana Damortusa: „Moim zdaniem z nim pójdzie najłatwiej”. Nie ulegało wątpliwości, że Jeffrey coraz więcej czasu spędza samotnie i coraz mniej poświęca go im, jemu i Jill. Kilka razy David widział go pogrążonego w rozmowie z Williamem Rufusem i chociaż próbował go o ty wypytać, Jeffrey nie dał się wciągnąć do rozmowy. W bibliotece nie było ani jednej książki, tymczasem on się nimi zaczytywał, wielkimi, starymi, zakurzonymi księgami o pożółkłych stronicach i splekanych skórzanych okładkach.

Jill, dziewczynka bardzo porywcza, w końcu nie wytrzymała. Któregoś wieczoru, kiedy zebrali się w pustej klasie, żeby jak zwykle omówić postępy, jakich dokonali, a raczej zupełny ich brak, spojrzała na niego i wypaliła:

- Ty? Co ci jest? Zachowujesz się tak, jakby ci się tu podobało!

- N...n...no i co z tego? - odparł Jeffrey.

- Przecież ta szkoła to dom wariatów!

- Tak samo jak wszystkie inne p...p... prywatne szkoły. Ale jest o wiele lepsza niż Godlesston.

- A nasze przymierze? - wtrącił David. - My przeciwko nim. Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich.

- M...m...może my jesteśmy przeciwko nim, ale nie wiem, czy oni są przeciwko n...n...nam.

- To dlaczego się do nich nie przyłączysz? - warknęła Jill.

Za późno. Wyglądało na to, że Jeffrey już to zrobił.

Po kostki w śniegu David i Jill wlekli się przez boisko. Zdążyli już poznać każdy centymetr kwadratowy wyspy. Szkoła Pod Wieżycami stała na jej północnym krańcu. Na krańcu wschodnim rozpościerał się las. Drzewa w lesie wyglądały jak wykute z kamienia i miały chyba tysiąc lat. Cypel z drewnianym pomostem był na krańcu południowym, a nad cyplem wznosiły się kolorowe skały o spłaszczonych wierzchołkach. David dawał głowę, że u podnóża skał widział wejście do jaskini i bardzo chciał ją zbadać, lecz w żaden sposób nie mógł tak nisko zejść. Skały były zbyt strome, poza tym wejście do jaskini znajdowało się w wąskiej zatoczce, między głazami, które wzburzone morze wypolerowało i wyostrzyło, nadając im kształt iglic.

Na wyspie była też rzeka. Niewiele szersza od zwykłego strumienia, płynęła z północy i wpadała do leżącego przy lesie jeziora. Właśnie tam teraz szli. Woda zamarzła i pomyśleli,

że fajnie by było się trochę poślizgać. Sęk w tym, że nie mieli łyżew. Zresztą szczerze mówiąc, mimo świąt nie mieli ochoty na zabawę.

- Nauczyłaś się czegoś, odkąd tu przyjechaliśmy? - spytała Jill.

David zmarszczył czoło.

- Chyba nie - przyznał po namyśle. - Ale tu nie ma żadnych klasówek ani egzaminów, więc co to za różnica?

- Ja też nie, ale czegoś się dowiedziałam. - Jill podniosła kamień i rzuciła go w stronę jeziora. Kamień odbił się od lodu i wpadł w splątane zarośla. - Łódź przy pływa co wtorek. Kapitan Krwawy wyładowuje zapasy, a potem jedzie z Gregorem do szkoły. Przez prawie godzinę nikt nie pilnuje łodzi.

- No i? - zainteresował się David.

- Drugi dzień Bożego Narodzenia wypada we wtorek. I kiedy tamci będą w szkole, na pokładzie łodzi znajdzie się pasażer na gapę: ja.

- Przecież tam nie ma gdzie się schować. - Oglądali łódź przed tygodniem, ona i on. - Sprawdzaliśmy.

- We dwoje na pewno się nie ukryjemy - przyznała Jill - ale jedno z nas może wcisnąć się do kabiny. Na podłodze leży sterta starych szmat. Schowam się pod nimi i już.

- A więc naprawdę chcesz zwać... - Wypowiadając te słowa, David nie mógł ukryć smutku. Jill była jego jedyną prawdziwą przyjaciółką. Wiedział, że bez niej będzie samotniejszy niż kiedykolwiek dotąd.

- Muszę - odrzekła Jill. - Jeśli zostanę tu dłużej, zwariuję jak... jak Jeffrey. Ale kiedy ucieknę, wyślę list do kuratorium. Na pewno kogoś tu przyślą. I założę się, że tydzień później zamkną tę szkołę na cztery spusty.

- Ale dokąd pojedziesz?

- Mam czterech braci i dwie siostry, mogę wybierać - odrzekła z uśmiechem Jill. - Wielka rodzina, co? Ja byłam siódma!

- Czy twoja mama też ma braci albo siostry? Jill posłała mu dziwne spojrzenie.

- A co to, u licha, za różnica?

- Żadna, ja tylko tak...

- Skoro już musisz wiedzieć, ona też była siódma. Mam sześciu wujków. Ale dlaczego pytasz?

- Siódma córka siódmej córki... - wymamrotał David i zamilkł. To coś znaczyło. To musiało coś znaczyć. Tylko co?

Nie dawało mu to spokoju, gdy siedział samotnie w bibliotece. Na świąteczną kolację - jeśli można to nazwać świąteczną kolacją - była szynka i frytki, frytki niewiele cieplejsze od szynki. Po raz pierwszy od dnia przyjazdu czuł się naprawdę przybity. Jill poszła wcześniej spać, a on nie mógł nawet obejrzeć telewizji. W szkole był telewizor, ale czarno-biały i posklejany taśmą. Nie miał gałki potencjometru głośności i odbierał tak fatalnie, że to, co działo się na ekranie, przypominało małą burzę śnieżną. Jeśli oglądało się program o głuchoniemych górnikach na Syberii, wszystko było w porządku, poza tym odbiornik nadawał się tylko na szmelc.

Otworzyły się drzwi i do biblioteki wszedł Jeffrey..

- Cześć - rzucił David.

- Cześć, D...D...David. - Grubas stał w drzwiach, z zażenowaniem przestępując z nogi na nogę, jakby przyłapano go na dłubaniu w nosie.

- Ostatnio rzadko się widzujemy - powiedział przyjaźnie David.

- Wiem, jestem t...t...trochę zajęty - Jeffrey rozejrzał się, poprawiając druciane okulary i strzelając oczami po całym pokoju. - Właściwie to szukam W. W... Williama.

- Swojego nowego kumpla? - spytał szyderczo David. - Tu go nie ma. Chyba, że s...s...schował się pod dywanem, w k...k...kominku albo tam, dokąd chodzą w nocy. Mogę ci tylko powiedzieć, że jeśli chcesz się do nich przyłączyć, na pewno przyjmą cię z otwartymi ramionami!

- Jan...n...nie... - Jeffrey urwał, zaczerwienił się i Davidowi zrobiło się głupio. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz w tym samym momencie Jeffrey wyszedł z biblioteki i, zamknął za sobą drzwi.

David wstał. „Z nim pójdzie najłatwiej”. Znowu przypomniały mu się słowa pana Damortusa. Jasne, bez względu na to, co tamci knuli, Jeffrey był najsłabszy, najmniej odporny z nich trojga. Był gruby. Nosił okulary i się jękał. Był ofiarą losu, z którego wszyscy się nabijali. Odtrącając go, David zrobił dokładnie to, czego chciał Damortus i pozostali dyrektorzy, Laterg i Rankor. Kiedy zaczynali, było ich troje przeciwko wszystkim. Jego bezmyślność doprowadziła do tego, że Jeffrey odpadł.

Szybko wyszedł z pokoju. Chłopiec zniknął już w korytarzu, lecz David nie zamierzał go zatrzymywać. Gdyby odkrył, co tak naprawdę dzieje się w Szkole Pod Wieżycami - pod fasadą tych wspaniałych lekcji i szkolnego życia - może zdołałby to coś powstrzymać, uratować siebie i jego. Korytarz: doskonałe miejsce na rozpoczęcie śledztwa. Odpowiedzi na wszystkie pytania należało szukać w jednym z dwóch pomieszczeń.

Zaczął od gabinetu dyrektorów. Odkąd przyjechali na wyspę, nie widział żadnego z nich, ani pana Laterga, ani Rankora. Gdyby nie to, że na własne uszy słyszał ich głosy, nie uwierzyłby, że w ogóle istnieją. Cicho zapukał do drzwi. Zgodnie z oczekiwaniami, nikt mu nie odpowiedział. Zerknąwszy przez ramię, przekreślił klamkę. Drzwi się otworzyły.

Nigdy dotąd tam nie był. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie bardziej przypominało kaplicę niż gabinet. Witraże w oknach przedstawiały sceny z czegoś, co wyglądało jak Sąd Ostateczny, z diabłami, które spychają w płomienie nagie kobiety i mężczyzn. Na podłodze z czarnego marmuru nie było dywanu. Półki z książkami podobnymi do tych, które czytał Jeffrey, skojarzyły mu się z kościołem i był tam nawet pulpit w kształcie orła, który rozpostartymi skrzydłami podtrzymywał Biblię.

No i kolejna zagadka. Szkoła Pod Wieżycami miała dwóch dyrektorów. W takim razie dlaczego w gabinecie stało tylko jedno biurko i jedno krzesło? Dlaczego na wieszaku wisiała tylko jedna toga? Na te pytania - podobnie jak na wszystkie pozostałe - David nie potrafił odpowiedzieć. Szuflady biurka były zamknięte na klucz, a na blacie nie wały się żadne dokumenty. Spędził tam pięć minut i niczego nie znalazł. Wyszedł równie cicho, jak wszedł.

Wejście do gabinetu wicedyrektora Damortusa wymagało nie lada odwagi. Doskonale pamiętał swoją pierwszą tam wizytę: nieustannie przypominała mu o tym mała blizna na kciuku. W końcu wziął się w garść i otworzył drzwi.

- Przecież on mnie nie słyszy... - wymamrotał, bardzo pragnąc w to wierzyć.

Pana Damortusa w gabinecie nie było, lecz stąpając po dywanie, miał nieodparte wrażenie, że ktoś go obserwuje. Przystanął, nie śmiejąc głębiej odetchnąć. Nie, był tu zupełnie sam. Zrobił krok do przodu. Wyraźnie czuł na sobie czyjś wzrok. Ponownie przystanął. I wtedy zrozumiał, co się dzieje. Obrazy! Portrety posepnych starców, namalowane, jak przypuszczał, kilka lat po ich śmierci. Kiedy szedł, starcy śledzili go wzrokiem. Tak, ile razy ktoś wchodził do gabinetu, nie spuszczała z niego oka.

Zatrzymał się przy czymś w rodzaju komody i oparł rękę na jej blacie. Drewno zdrżało. David szybko zabrał rękę i spojrzał na swoje palce. Co to jest? Kolejne złudzenie? Nie. Wyraźnie słyszał słaby, wibrujący dźwięk. Dochodził z komody.

David przykucnął, pociągnął za gałkę jednej z szuflad i właśnie wtedy dokonał swego pierwszego odkrycia. Komoda tylko udawała komodę, a wszystkie trzy szuflady były fałszywe i otwierały się jak pojedyncze drzwiczki. Tak naprawdę była to nowoczesna lodówka.

Zajrzał do środka i z trudem przełknął ślinę. Może i była to lodówka, ale na pewno nie przechowywano w niej mleka, masła i tuzina jaj. Zamiast tego leżało tam około trzydziestu plastikowych torebek wypełnionych ciemnoczerwonym płynem.

- Wino - szepnął David. - To musi być wino. Oczywiście, że wino. Przecież to nie może być... Krew!

Błyskawicznie zatrzasnął drzwiczki i wstał. Tak, to była krew. Wina nie sprzedają się w plastikowych torebkach. A na butelkach nie nakleja się etykietek z napisem: AB+. Nie chciał się nawet zastanawiać, co w lodówce pana Damortusa robi prawie siedemnaście litrów krwi. Nie chciał tego wiedzieć. Chciał jedynie uciec z gabinetu, zanim sam skończy w kilku torebkach na najniższej półce.

Ale zanim dobiegł do drzwi, zdołał się jakoś opanować. To mogła być ostatnia szansa na przeszukanie gabinetu. Wiedział, że Jeffreyowi nie zostało dużo czasu. Wziął głęboki oddech. Był tu sam. Nikt nie wiedział, że tu jest. Musiał kontynuować śledztwo.

Podszedł do biurka. Księga, w której pierwszego wieczoru wpisał krwią swoje nazwisko, wciąż spoczywała na blacie, więc otworzył ją trzęsącymi się rękami. Chciał poślinić palec, lecz zaschło mu w ustach. Jego wzrok padł na ostatnie trzy nazwiska: DAVID ELIOT, JILL GREEN, JEFFREY JOSEPH. Chociaż krew zdążyła zblaknąć i była teraz brązowawa, nie ulegało wątpliwości, że jest świeższa niż ta na poprzednich stronicach. David pochylił się i zaczął czytać.

Wystarczyło mu trzydzieści sekund, by stwierdzić, że nie zna ani jednego z ponad sześćdziesięciu nazwisk. Nie było tam ani Williama Rufusa, ani Bessie Duncan, ani Rogera Bacona. A więc jednak miał rację. Jakiś czas po przybyciu do szkoły uczniowie przybierali fałszywe nazwiska. Pytanie tylko, dlaczego?

Zamknął księgę. Jego uwagę przykuło coś, co leżało w rogu biurka. Tamtego wieczoru nic tam nie było. David widział to po raz pierwszy, to znaczy pierwszy raz oglądał go nie na czyimś palcu: pierścień, złoty pierścień z czarnym kamieniem. Wyciągnął rękę, dotknął go i... krzyknął z bólu. Pierścień był straszliwie gorący, jakby przed chwilą wydobyto go z formy. Co było oczywiście niemożliwe. Przecież leżał na drewnianym blacie, odkąd David wszedł do gabinetu. Nie, to na pewno tylko złudzenie. Złudzenie czy nie, palec wciąż go piekł, a na skórze wyskoczył pęcherz.

- Co ty tu robisz?

Zapominając o bólu, błyskawicznie się odwrócił. W pokoju stał pan Damortus, ale to też było niemożliwe. Przecież nikt nie otwierał drzwi, David na pewno by to usłyszał. Wicedyrektor miał na sobie swój czarny garnitur, jakby wybierał się na pogrzeb. W jego

głosie nie było wrogości - pobrzmiwała w nim raczej nutka zaciekawienia - za to z oczu był wyraźny gniew. Ściskając oparzoną rękę, David rozpaczliwie próbował coś wymyślić. Dobra, zdecydował, nie mam wyboru. Pamiętaj o lodówce.

- Co ty tu robisz, Davidzie? - powtórzył pan Damortus.

- Ja... Szukałem pana, panie dyrektorze.

- Po co?

- No... - Nagle go olśniło. - Chciałem złożyć panu życzenia wesołych świąt.

Górna warga pana Damortusa drgnęła i powędrowała do góry.

- Czarujące... - wymamrotał tonem głosu, który mówił: Akurat! Ruchem ręki wskazał jego dłoń. - Oparzyłeś się.

- Tak. - David zaczerwienił się ze wstydu. - Zobaczyłem ten pierścień i...

Pan Damortus ruszył w stronę biurka. David starał się nie patrzeć w lustro. Wiedział, co tam zobaczy, a raczej czego nie zobaczy. Czekał bez słowa, aż wicedyrektor podejdzie bliżej, zastanawiając się co teraz.

- Czasami nierozsądnie jest oglądać rzeczy, które do nas nie należą - rzekł pan Damortus. - Zwłaszcza, jeśli jest to coś, czego w pełni nie pojmujemy. - Podniósł pierścień. David drgnął, lecz pierścień musiał już chyba ostygnąć, gdyż wicedyrektor nawet nie skrzywił się z bólu. - Muszę powiedzieć, że bardzo mnie rozczarowałeś, Davidzie. Mimo naszej małej pogawędki, wydaje się, że nie robisz żadnych postępów.

- W takim razie niech pan wyrzuci mnie ze szkoły. - Buńczuczność, z jaką to powiedział, zaskoczyła jego samego, lecz mówił szczerą prawdę: niczego bardziej nie pragnął.

- O nie! Ze Szkoły Pod Wieżycami jeszcze nigdy nikogo nie wyrzucono. - Pan Damortus cicho zachichotał. - Owszem, mieliśmy tu trudne dzieci, ale wszystkie nas w końcu zaakceptowały. Pewnego dnia pójdiesz w ich ślady.

- Ale czego pan ode mnie chce? - nie wytrzymał David. - Co tu się dzieje? Wiem, że to nie jest prawdziwa szkoła. Dzieje się tu coś potwornego. Dlaczego nie chce mnie pan wyrzucić? Ja wcale nie chciałem tu przyjeżdżać. Dlaczego nie wyrzuci mnie pan i nie zapomni o moim istnieniu? Nienawidzę tej szkoły. Nienawidzę was wszystkich. I nie przystanę do was, dopóki żyję!

- Czyżbyś zamierzał wkrótce umrzeć? - Głos pana Damortusa stał się nagle lodowaty. Każda sylaba brzmiała jak upiorny szept. David zamarł, czując, że wilgotnieją mu oczy. Jednakże był pewny jednego: tego, że się nie rozplacze. Nie przy nim, nie przy Damortusie.

Ale wtedy wicedyrektor jakby złagodniał. Rzucił pierścień na biurko i usiadł.

- Nie rozumiesz tylu rzeczy, Davidzie - przemówił cicho i spokojnie. - Ale pewnego dnia wszystko się zmieni, zobaczysz. Teraz idź do pani Kanabil. Niech opatrzy ci rękę.

Kościstym palcem musnął kącik ust i po namyśle dodał:

- Powiedz jej, że zalecam ci naszą specjalną maść. Jestem pewien, że będziesz miał po niej... przyjemne sny.

David odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

Było już późno i korytarz jak zwykle świecił pustkami. Pograżony w myślach David ruszył schodami na górę. Nie miał najmniejszego zamiaru iść do pani Kanabil. Skoro pan Damortus przechowywał w lodówce świeżą krew, co mogła trzymać w apteczce ona? Bolały go poparzone palce, lecz wołał już nawet największy ból niż kolejną rozmowę z pracownikiem Szkoły Pod Wieżycami.

Dlatego zdenerwował się, stwierdziwszy, że przed gabinetem lekarskim czeka na niego pani Kanabil. Musieli tu mieć jakiś interkom, bo wiedziała już, co mu się stało.

- Obejrzyjmy twoją biedną rączusie - zaszcebiotała. - Chodź. Usiądź, a ja pójde po plaster. Chyba nie chcemy, żeby wdało się zakażenie, prawda? Mój mąż miał zakażenie, niechaj spoczywa w pokoju. I w całości. Pod koniec wyglądał naprawdę okropnie, a wszystko zaczęło się od maluteńkiego zadrapania... - Wprowadziła Davida do gabinetu tak szybko, że nie zdążył zaprotestować. - Usiądź. Pójde po plaster.

David usiadł. Gabinet był mały i przytulny. Pod ścianą stał piecyk gazowy, na podłodze leżał kolorowy dywan, a na krzesłach miękkie, ręcznie hartowane poduszki. Na ścianach wisały piękne kilimy, a na niskim stoliku walały się komiksy. On siedział, a pani Kanabil szperała w przeszklonej apteczce na drugim końcu pokoju. Gdy otworzyła kolejne drzwiczki, chłopiec zobaczył, że odbija się w nich siedzący na żerdzi ptak. Początkowo myślał, że to tylko miraż, lecz odwróciwszy głowę, stwierdził, że ptak naprawdę tam jest, że siedzi przy oknie. Był to czarny kruk. Wypchany? Jak głowy zwierząt w bibliotece? W tej samej chwili ptak głośno zakrakał i potrząsnął skrzydłami. David zadrzał, przypominając sobie kruka, którego widział w ogrodzie w dniu wyjazdu do szkoły.

- To Wilfred - wyjaśniła pani Kanabil, siadając na krześle. - Niektórzy hodują złote rybki. Inni trzymają w domu chomiki. Ale ja zawsze wołałam kruki. Mój świętej pamięci mąż za nimi nie przepadał. Szczerze mówiąc, to właśnie Wilfred zdrapał go pazurkiem. Czasami jest bardzo niegrzeczny! A teraz obejrzyjmy twoje paluszki.

David wyciągnął rękę i przez kilka chwil pani Kanabil smarowała ją różnymi maściami i oklejała plastrem.

- I już! - wykrzyknęła, założywszy opatrunek. - Szybko się zagoi.

David chciał wstać, lecz zarządczyni powstrzymała go gestem ręki.

- Powiedz mi, mój drogi - spytała - jak podoba ci się w naszej szkole?

David był zmęczony. Miał dość tych wszystkich gier, dlatego powiedział jej prawdę:

- Wszystkie dzieci są świrnięte. Nauczyciele też. Wyspa jest koszmarna. A sama szkoła jak szkoła z telewizyjnych horrorów. Chciałbym wrócić do domu.

Pani Kanabil uśmiechnęła się promiennie.

- Ale poza tym jesteś zadowolony, tak? - spytała.

- Proszę pani...

- Doskonale cię rozumiem, mój drogi - przerwała mu zarządczyni. - Na początku zawsze jest trudno. Dlatego postanowiłam dać ci na pocieszenie odrobinę mojej specjalnej maści.

- Maści? - spytał podejrzliwie David. - Na co?

- Na przyjemne sny, kochanie. - Z kieszeni fartucha wyjęła małą tubkę, odkręciła ją i zanim David zdążył zareagować, tubka leżała już na jego otwartej dłoni. Maść była gęsta i czarna jak węgiel, lecz, o dziwo, pachniała całkiem ładnie, troszkę gorzkawo, jakby sporządzono ją z jakichś ziół. Już sam jej zapach odprężył go i wewnętrznie rozgrzał. - Wetrzyj trochę w czoło - doradziła pani Kanabil głosem cichym, przymilnym i dziwnie odległym. - Zobaczysz, będziesz miał po niej cudowne sny.

David zrobił, co mu kazano. Po prostu nie mógł odmówić. Nie chciał odmówić. Maść bardzo rozgrzewała skórę. Wystarczyło, że ją naniósł, i natychmiast wnikała w głąb ciała, docierając aż do kości - tak mu się przynajmniej zdawało.

- A teraz do łóżka. - Czy powiedziała to pani Kanabil? David mógłby przysiąc, że słyszy zupełnie inny głos. - Życzę ci miłych snów.

I rzeczywiście, tej nocy coś mu się śniło. Pamiętał, że rozebrał się, położył i chyba zasnął, z tym że spał z otwartymi oczami i wszystko widział. Pozostali chłopcy wstali z łóżek. To go nie zdziwiło. Przewrócił się na drugi bok i zacisnął powieki.

A przynajmniej próbował je zacisnąć, bo zaraz potem był już ubrany i szedł za uczniami do biblioteki. Potknął się na szczycie schodów, lecz ktoś go podtrzymał. William Rufus. David uśmiechnął się do niego. Chłopak odpowiedział uśmiechem.

Weszli do biblioteki. To, co stało się potem, wprawiło go w lekką konsternację. Widział swoje odbicie w lustrze, tym naprzeciwko kominka. I nagle w nie wszedł. Dosłownie: przeszedł przez twarde szkło. Myślał, że szkło pęknie, lecz nie pękło. I nagle znalazł się po drugiej stronie lustra. Zerknął do tyłu, ale William Rufus pociągnął go za rękę i poszli dalej.

Ściany z litej skały. Kręta ścieżka schodząca w głąb ziemi. Zapach słonej wody. Sen zaczął się rwać, jakby lustro w bibliotece jednak pękło i jakby widział tysiące obrazów odbijających się w tysiącu kawałków szkła. Był w jakiejś olbrzymiej podziemnej grocie czy jaskini. Widział stalagmity, lśniące i srebrzyste, które strzelały w górę ku zwisającym ze stropu stalaktytom. A może było na odwrót...?

W grocie płonęło wielkie ognisko, rzucając na ściany fantastyczne cienie. Zebrała się tam cała szkoła, cała szkoła czekała w milczeniu na coś lub na... kogoś? Zza olbrzymiego, płaskiego głazu wyszedł jakiś mężczyzna. David odwrócił wzrok. Tego widoku nie mógł znieść, gdyż był potworniejszy od wszystkiego, co dotąd tu widział. Jednakże później miał go sobie przypomnieć...

Dwóch dyrektorów, ale tylko jedno biurko i tylko jedno krzesło.

Nić snu ponownie pękła. Padały jakieś słowa. Potem było świąteczne przyjęcie, kolacja, jakiej nigdy dotąd David nie jadł. Na rożnie skwierczało pieczone mięso. Ze srebrnych dzbanów lało się wino. Jedli puddingi, zapiekanki, przeróżne ciasta i po raz pierwszy uczniowie Szkoły Pod Wieżycami krzyczeli, śmiali się i zachowywali się jak prawdziwi uczniowie. Z ziemi buchnęła muzyka i David rozejrzał się w poszukiwaniu Jill. Ku swemu zaskoczeniu natychmiast ją znalazł i przetańczyli razem wiele godzin, chociaż wiedział (ostatecznie był to tylko sen), że tak naprawdę musiały to być jedynie minuty.

W końcu zapadła cisza i wszyscy znieruchomieli. W stronę płaskiego głazu przeciskała się przez tłum pojedyncza postać. David chciał krzyknąć, lecz odebrało mu głos. Był to Jeffrey. Czekał na niego pan Damortus, który trzymał na dłoni złoty pierścień z czarnym kamieniem. Jeffrey uśmiechał się radośnie, radośniej niż kiedykolwiek dotąd. Wziął pierścień i włożył go sobie na palec. Wtedy uczniowie wesoło zakrzyknęli, a ich głosy odbiły się echem od skalnych ścian, docierając do uszu Davida, który się wreszcie.....obudził.

Bolała go głowa i miał przykry niesmak w ustach. Przetarł oczy, zastanawiając się, gdzie jest. Było już rano. Przez okna wpadały chłodne promienie zimowego słońca. Powoli usiadł i rozejrzał się wokoło.

Siedział w swoim łóżku, a łóżko stało tam, gdzie zwykle, w sypialni. Jego ubranie leżało na krześle dokładnie tak, jak je zostawił. Popatrzył na palce. Miał na nich plaster. Pozostali chłopcy już się ubierali i twarze mieli jak zwykle nieprzeniknione. David odrzucił koc. Tak, to tylko sen. Uśmiechnął się do siebie. Przeszedłem przez lustro? Tańczyłem z Jill w podziemnej grocie? Oczywiście, że to tylko sen. Bo jeśli nie sen, to co?

Wstał i przeciągnął się. Bolały go wszystkie mięśnie i kości, jakby przed chwilą dobiegł do mety czterdziestokilometrowego biegu. Spojrzał w bok. Na sąsiednim łóżku

siedział na wpół ubrany Jeffrey. David pomyślał o ich rozmowie w bibliotece i ciężko westchnął. Musiał to jakoś naprawić.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry - odburknął wrogo Jeffrey.

- Słuchaj... Przepraszam za wczorajsze. Nie chciałem. OK?

- Nie musisz mnie przeproszać. - Jeffrey podciągnął szorty. - Daj sobie spokój.

W ułamku sekundy David zauważył mnóstwo rzeczy. Zarejestrował je wszystkie naraz i zrobił to tak szybko, że nie był pewien, która z nich wpadła mu w oko pierwsza.

Jeffrey się zmienił.

Był teraz nieprzyjazny, a nawet wrogi. Przemawiał głosem chłodnym i apatycznym, jak tamci. I przestał się jękać.

Ręka, którą właśnie zapinał koszulę, też się zmieniła.

Na jej palcu lśnił złoty pierścień z czarnym oczkiem.

List

Drugiego dnia świąt David napisał list do ojca.

Szkoła Pod Wieżycami Czarcia Wyspa 26 grudnia

Drogi Tatusiu!

To dla mnie bardzo trudny list.

List był tak trudny, że zanim napisał pierwsze zdanie, podarł trzy kartki, ale nawet wtedy nie miał absolutnej pewności, czy nie zrobił błędu w słowie „trudny”.

Wiem, że bardzo Cię rozczarowałem, bo nie interesowałem się bankowością i wyrzucono mnie z Beton

College. Ale teraz widzę, że postępowałem źle. Postanowiłem zostać kasjerem w Banku Anglii. Jeśli mnie tam nie przyjmą, spróbuję dostać pracę w Banku Niemiec. Jestem pewien, że będziesz ze mnie tak dumny, jakbym został samym Rockefellerem.

Ostatnie zdanie też przekreślił. Wtedy zadzwonił dzwonek na lunch i następny akapit powstał dopiero godzinę później.

Ale muszę Cię o coś poprosić. BŁAGAM, ZABIERZ MNIE Z TEJ SZKOŁY. Nie, żeby mi się tu nie podobało (choć się nie podoba). Chodzi o to, że Szkoła Pod Wieżycami nie spełnia Twoich oczekiwań. Gdybyś wiedział, jak tu jest, nigdy byś mnie tu nie wysłał.

Moim zdaniem wszyscy oni są jakimiś czarownikami. Wicedyrektor Damortus jest wampirem. Pan Humus od ceramiki i religioznawstwa jest chodzącym trupem, a panna

Pedicure od angielskiego i historii powinna już dawno nie żyć, bo ma co najmniej sześćset lat! Pewnie myślisz, że zwariowałem, ale...

David przeczytał wszystko jeszcze raz i doszedł do wniosku, że to całkiem możliwe. Tak, na pewno zwariował, bo czy coś takiego mogło zdarzyć się naprawdę?

...przysięgam, że mówię prawdę. Oni chcą zrobić ze mnie zombie, jak z mojego kolegi Jeffreya. Jeffrey przestał się do mnie odzywać. I już się nie jąka. Czuję, że jeśli zostanę tu jeszcze trochę, będę następny.

Wziął głęboki oddech. Rozbolała go ręka. Ścisnął pióro tak mocno, że atrament z trudem docierał do stalówki. Żeby się odprężyć, odetchnął jeszcze raz i przysunął bliżej kartkę.

Nie potrafię Ci nawet opisać, co mnie tu spotkało, odkąd przyjechałem. Dźgnięto mnie, odurzono jakimś narkotykiem, grożono mi i na śmierć przestraszano. Wiem, że kiedy byłeś młody, dziadek traktował Cię podobnie, ale uważam, że to niesprawiedliwe, bo nie zrobiłem nic złego, poza tym nie chcę być zombie. Proszę, przyjedź tu, a wtedy przekonasz się, że nie zmyślam.

Nie mogę wysłać tego listu, bo na wyspie nie ma skrzynki pocztowej, a jeśli już do mnie napisałeś, to jeszcze nic nie dostałem. Dam ten list mojej koleżance, Jill Green. Jill zamierza jutro uciec i obiecała, że go wyśle. Dałem jej również numer naszego telefonu, żeby mogła do Ciebie zadzwonić (na koszt abonenta). Opowie Ci, co się tu dzieje i mam nadzieję, że jej uwierzysz.

Muszę już kończyć, bo zaraz mam chemię. Uczą nas tajemnic życia.

Pomocy!

David

Przynajmniej nikt nie wszedł do biblioteki, dobre i to. Pisał, jednym okiem zerkając na drzwi, a drugim na lustro, dlatego linijki rozjeżdżały się na wszystkie strony i kiedy przeczytał list jeszcze raz, zrobiło mu się niedobrze. To nic, wyśle bazgroły, i tyle. Złożył kartkę na pół, potem jeszcze raz na pół. Nie miał koperty, ale Jill obiecała, że gdy tylko dotrze na ląd, kupi i kopertę, i znaczek.

Wiedział, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, kapitan Krwawy przybędzie na wyspę nazajutrz o dziesiątej rano. Jill ucieknie z drugiej lekcji, ukryje się za pomostem, a kiedy Gregor wyładuje zapasy i odwiezie kapitana do szkoły, wskoczy do łodzi i schowa się pod szmatami. Łódź odpłynie o jedenastej, tak więc już o dwunastej Jill będzie jechała okazją na południe.

Musiała stąd uciec, po prostu musiała. Była jego jedyną nadzieją. Jednakże biegnąc korytarzem na lekcję chemii, martwił się jeszcze czymś. Wiedział, że Jill na pewno wysła list. Że ojciec go przeczyta. Tylko czy mu uwierzy? On albo ktokolwiek inny.

Bo czasami nie wierzył w to nawet on sam.

Inspektor

Jill nie udało się nawet opuścić wyspy. Kapitan Krwawy znalazł ją pod szmatami, chwycił za kark i wyrzucił z łodzi. Dziewczynka była roztrzęsiona i nieszczęśliwa.

- Myślałaś, że mnie oszukasz, piękna dziewczeczko? - wykrzyknął Krwawy z obłętnym uśmiechem na ustach. - Ze nie wiem, jakie zanurzenie ma moja własna łódź? Wrzucić na pokład garść szprotek, a powiem ci, ile ich wrzuciłaś! Chciałaś zabrać się na gapę, co? Ha! Nabrać kapitana Krwawego? Musiałabyś najpierw zaliczyć sto sztormów, laleczko!

Przez cały tydzień przerażona Jill czekała, aż coś się stanie. David wspomniawszy jej niechętnie, że jeśli przyłapano kogoś na próbie ucieczki z Beton College, golono go na łyso i przez dwa miesiące kazano mu chodzić ze związanymi sznurowadłami. Tymczasem tu nie stało się nic. W Szkole Pod Wieżycami naprawdę nie było żadnych kar. Jeśli kapitan Krwawy wspomniawszy o ucieczce dyrektorom albo nauczycielom, ci najwyraźniej to zignorowali.

Tak więc oboje pozostali na wyspie, tymczasem zima powoli mijała, skrząc się w słońcu strumykami i strumyczkami i ustępując miejsca wiosnie. Przebywali tu już od siedmiu tygodni. W szkole nic się nie zmieniło i wciąż traktowano ich jak autsajderów. Jednakże David czuł, że zmienia się on sam. I to go przerażało.

Zycie na wyspie zaczynało mu się podobać. Wbrew samemu sobie doskonale się uczył. Francuski, historia, matematyka... nawet łacina nie sprawiała mu żadnych trudności. Zakwalifikował się do pierwszej jedenastki i chociaż nie odwiedzały ich drużyny z innych szkół, lubił grać w piłkę, a właściwie w świński pęcherz. No i była jeszcze Jill. Darzył ją całkowitym zaufaniem, a ona bezgranicznie mu wierzyła. Spędzali razem każdą wolną chwilę, spacerując i rozmawiając. Nigdy w życiu nie miał lepszej przyjaciółki.

W skrytości ducha cieszył się, że nie zdołała uciec, i bardzo go to martwiło. Mimo pięknego słońca i zapachu wiosny, wciąż czuł, że na Czarnej Wyspie dzieje się coś złego, że to coś powoli, acz nieuchronnie go wciąga. Wiedział, że skoro zaczyna mu się tu podobać, wkrótce nie będzie chciał wracać do domu.

Przy zdrowych zmysłach utrzymywała go Jill. Operacja „Butelka” była jej pomysłem. Przez cały tydzień zbierali wszystkie butelki, jakie tylko mogli znaleźć, po czym wrzucali je

do morza z krótkim listem błagającym o pomoc. Wrzucili butelkę z listem do rodziców, do policji, do ministerstwa edukacji, a nawet - zrobili to w przypiływie największej rozpacz - do królowej Anglii. David był pewien, że wszystkie zatoną, zanim dotrą do wybrzeży Norfolk, albo że morze wyrzuci je z powrotem na Czarcią Wyspę. Ale się mylił. Jedna z butelek trafiła do adresata.

Nowinę obwieścił pan Lupus od francuskiego. Był mężczyzną niskim, łysym i nieśmiałym - ale tylko na początku miesiąca, bo im bliżej pełni, tym bardziej się zmieniał. Ciało puchło mu jak ciało Niezwykłego Hulka, twarz stawała się coraz dziksza, a na głowie wyrastała grzywa włosów. Gdy nadchodziła pełnia, pan Lupus znikał i pojawiał się dopiero nazajutrz rano, ponownie niski, łysy i nieśmiały. Jego ubranie było rozrywane na strzępy i cerowane tyle razy, że musiały w nim tkwić co najmniej trzy kilometry nici. Kiedy wpadał w złość - a był człowiekiem bardzo wybuchowym - zamiast krzyczeć, szczełał.

Pierwszego lutego rano był bardzo zły. - Wygląda na to, że nasza szkoła ma mały *le problème* - oznajmił z przesadnie francuskim akcentem. - Nasi wścibscy *les inspecteurs* z ministerstwa edukacji postanowili *pour nous visiter*. Dlatego jutro wszyscy musimy pokazać się od jak najlepszej strony. - Spojrzał znacząco na Davida i Jill. - *N'oubliez pas*: nie rozmawiamy z tym panem, chyba że ten pan zechce porozmawiać z nami.

Tego wieczoru Jill nie mogła ukryć podekscytowania.

- Musieli dostać naszą wiadomość - mówiła. - Jeśli ci z ministerstwa dowiedzą się prawdy o naszej szkole, zamkną ją, i już. Będziemy wolni!

- Wiem - mruknął ponuro David. - Ale oni nas do niego nie dopuszczą. A jeśli zobaczą, że z nim gadamy, zrobią mu coś strasznego. I nam też.

Jill łypnęła na niego spode łba.

- Myślisz, że nabiją go w butelkę?

- Oby tylko w dużą.

Inspektor Netherby przybył na wyspę nazajutrz rano. Chudy i urzędowo elegancki, był w szarym garniturze i w okularach, a rękę trzymał skórzaną dyplomatkę. Przywiózł go kapitan Krwawy, a na spotkanie wyszedł mu wicedyrektor Damortus. Pan Netherby uściskał mu rękę, krótko i oficjalnie, po czym rozpoczął swoją oficjalną wizytę. Był naprawdę bardzo oficjalny. Dokądkolwiek szedł, wszędzie robił oficjalne notatki. Od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie, po czym oficjalną, starannie wypielegnowaną ręką notował odpowiedzi.

Ku zniesmaczeniu Davida i Jill szkoła dała mu wyrafinowany pokaz. Było jak podczas królewskiej wizyty w szpitalu, kiedy to wyszorowane podłogi lśniły sztuczną czystością, a

ciężko chorzy pacjenci, odłączeni od aparatury i zakneblowani, siedzą ukryci w szafach. Chcieli mu zaimponować i na pewno zaimponowali. Wszyscy nauczyciele wystąpili w swoich najlepszych ubraniach, a wszyscy uczniowie robili wrażenie ożywionych, zainteresowanych, a przede wszystkim normalnych. Ci, których oficjalnie mu przedstawiono, odpowiadali na pytania z odpowiednio wyważoną dawką entuzjazmu. Tak, bardzo im tu dobrze. Tak, bardzo dużo się uczą. Nie, nigdy nie myśleli o ucieczce.

Inspektor Netherby był zachwycony - inaczej być nie mogło. W miarę upływu dnia zaczął się powoli odprężyć, tak że zachwycił go nawet widok wynaturzonego Gregora, który wnosił do kuchni wór kartofli.

- Ministerstwo bardzo popiera zatrudnianie niepełnosprawnych - powiedział. - I ludzi o odmiennej orientacji seksualnej. Czy on nie jest przypadkiem gejem?

- Hmm - zamyślił się pan Damortus. - Na pewno jest... odmienny.

- Znakomicie! Znakomicie! Naprawdę znakomicie! - Pan Netherby pokiwał głową i odhaczył coś w notatniku.

Pod koniec dnia dosłownie tryskał radością. Chociaż bardzo żałował, że nie mógł poznać dyrektorów - pan Damortus powiedział mu, że musieli wyjechać na konferencję - był całkowicie usatysfakcjonowany wszystkim, co widział. David i Jill obserwowali go z narastającym przerażeniem. Wyglądało na to, że ostatnia okazja wymyka im się z rąk i w żaden sposób nie mogli temu zaradzić. Poza tym pan Damortus robił wszystko, żeby ich do niego nie dopuścić. Inspektor nie wizytował ich lekcji, a ilekroć próbowali się do niego zbliżyć, szybko prowadził go w przeciwną stronę.

- Teraz albo nigdy - szepnęła Jill, kiedy wicedyrektor ruszył z gościem do frontowych drzwi. Właśnie skończyli naukę własną i mieli pół godziny wolnego przed pójściem spać. Jill ścisnęła w rękę krótki list. Napisali go wieczorem poprzedniego dnia i starannie złożyli na czworo. List brzmiał tak: **TO TYLKO POZORY. TU JEST ZUPEŁNIE INACZEJ. GROZI PANU WIELKIE NIEBEZPIECZEŃSTWO. PROSZĘ SPOTKAĆ SIĘ Z NAMI NA SKAŁACH O 7.45 WIECZOREM. I NIECH PAN NIE POKAZUJE NIKOMU TEGO LISTU.**

Pan Damortus i pan Netherby szli korytarzem w ich stronę.

- Bardzo miły dzień - mówił inspektor, - i Ale muszę panu powiedzieć, że martwi mnie trochę fakt, iż pańska szkoła nie figuruje w naszych spisach. Wygląda na to, że nie macie państwo koncesji.

- Czy to poważny problem? - spytał pan Damortus.

- Boję się, że tak. Musimy tę sprawę zbadać, ale pragnę pana zapewnić, że wystawię szkole nader pozytywną opinię...

Jill i David wiedzieli, co mają robić.

Ruszyli szybko i jednocześnie, jakby dokąś się spieszyli, i w połowie korytarza wpadli na inspektora i wicedyrektora, kiedy ci zrobili im przejście. David udał, że stracił równowagę i popchnął pana Damortusa na szafki. W tym samym momencie Jill wcisnęła inspektorowi list do ręki.

- Bardzo przepraszam, panie dyrektorze - wymamrotał David.

Wszystko razem trwało najwyżej trzy sekundy. Natychmiast stamtąd odeszli, jakby nic się nie stało. Pan Damortus niczego nie widział, a pan Netherby dostał list. Pytanie tylko, czy przyjdzie na spotkanie.

Gdy tylko mężczyźni zniknęli za rogiem, Jill i David zawrócili i wypadli ze szkoły drzwiami wychodzącymi na cmentarz. Nikt ich nie widział.

- Która? - wysapał David.

- Za piętnaście siódma - odrzekła Jill.

- Mamy pół godziny...

Przebiegli przez boisko, minęli jezioro i weszli do lasu. Był ciepły, bezchmurny wieczór. Kiedy wbiegali między drzewa, drogę oświetlał im księżyc, lecz ani on, ani ona go nie widzieli, ani on, ani ona nie spojrzeli w górę.

Księżyc był w pełni.

Ciężko dysząc, zatrzymali się na skraju lasu.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - spytał David.

- Musimy tędy przejść - odparła Jill. - Jeśli pójdziemy drogą, ktoś nas zobaczy.

- Kiedy patrzę na te drzewa, ciarki mnie przechodzą.

- Mnie przechodzą cały czas, nie tylko teraz. Ruszyli w głąb lasu. Ponieważ niebo i księżyc ginęły za baldachimem liści, wokoło panowała ciemność i głucha cisza. Takiego lasu David nigdy dotąd nie widział. Drzewa spletały się ze sobą konarami, najeżonymi kolcami i długimi wypustkami powojów oplatających prastare pnie. Z mchu wyrastały bajkowe grzyby-olbrzymy, lecz ilekroć któryś niechcący potrącił, sączyła się z niego ohydna, żółtawa ciecz. Wszędzie panował nienaturalny bezruch i cisza: nie zaśpiewał żaden ptak, nie zahuczała żadna sowa, nie czuli najłżejszego tchnienia wiatru.

I nagle zawył wilk.

Jill złapała Davida za rękaw tak mocno, że omal nie podarła mu koszuli.

- Co to? - szepnęła.

- Chyba pies - odszepnął David.

- Psy tak nie wyją.

- Wył jak pies.

- Jesteś pewien?

- No jasne.

Wilk zawył ponownie. Puścili się biegiem.

Biegli którądy tylko mogli, uchylając się przed ciosami nisko zwisających gałęzi i przeskakując krzaki. Wkrótce zabłądzili. Las pochłonił ich, osaczył nieprzebytym labiryntem grubych pni i gęstego poszycia, które zdawało się rozrastać na ich oczach. Zwierzę - czy cokolwiek to było - nieustannie się zbliżało. David go nie widział. Wolałby widzieć, tak byłoby łatwiej. Mimo to wyczuwał jego obecność i jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że jest to coś znacznie, ale to znacznie gorszego niż zwykle zwierzę. Uległ nieokiełznanej wyobraźni: wilk rozszarpujący mu pazurami kark. Wilk obnażający ociekające śliną kły. Wilk skaczący mu do gardła. Wilk...

- Już nie mogę! - wyszlochała Jill i się zatrzymała.

David przystanął obok niej. Ciężko dyszał, koszulę miał mokrą od potu. Co ich podkusiło? Dlaczego postanowili iść akurat wtedy? Potknął się, upadł prosto w osty i paliła go prawa ręka. Utknęli w ślepym zaułku, zewsząd otaczał ich zwarty mur drzew i kolczastych jeżyn. Rozejrzał się. Na ziemi leżał gruby kij, złamany przez wiatr konar. Chwycił go obiema rękami, wyciągnął z pokrzyw i podniósł.

- David!

David odwrócił się i wreszcie coś zobaczył. Było zbyt ciemno, żeby stwierdzić, co to takiego. Wilk, człowiek... albo pół wilk, półczłowiek? Z mroku wyłowił jedynie niewyraźny kształt ciała i dwoje świecących czerwono oczu. Słyszał też przyprawiające o dreszcz sapanie.

Nie mogli zawrócić. Biec dalej też nie mogli: otaczała ich zwarta gęstwina omszałych pni i krzewów. Stworzenie odcięło im jedyną drogę ucieczki.

I nagle zaszarżowało, skoczyło prosto na nich.

David wziął zamach i uderzył.

W ostatniej chwili zamknął oczy, lecz poczuł, że w coś trafił. Od siły ciosu zadrżało mu ramię. Stworzenie przeraźliwie ryknęło. Potem dobiegł go trzask poszycia, szeleszczący tupot i kiedy rozwarł powieki, zwierzęcia już nie było.

Jill podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu.

- To nie był pies - powiedziała.

- Tylko co?

- Nie wiem - odrzekła Jill, patrząc w zamyśleniu na ścieżkę. - Ale wiem, że wyło z wyraźnym francuskim akcentem.

Dotarli do południowego krańca wyspy, gdzie teren opadał stromo w dół, by u podnóża skał przejść w cypel. Przedarłszy się przez chaszczę na skraju lasu, przecięli drogę i wbiegli na klif, gdzie mieli czekać na inspektora. Jill spojrzała na zegarek. Zostało im dziesięć minut.

Czekali. Wierzchołek klifu był płaski i porośnięty zielonym kobiercem traw. Dwadzieścia metrów niżej, w blasku księżyca lśniły grzywacze fale. Z głośnym szumem atakowały sterczące skały i ostre głazy, które zdawały się wnikać w samą tkankę morza.

- Myślisz, że on przyjdzie? - spytał David.

- Chyba już tu jest - szepnęła Jill.

Skrajem klifu ktoś ku nim szedł, lecz widzieli jedynie czarną sylwetkę na tle bladego nieba. Chociaż dzieliła ich odległość dwustu metrów, dostrzegli dyplomatkę w jego rękę. Mężczyzna zobaczył ich, przystanął i spojrział przez ramię. Czegoś się bał. Poznali to po jego chodzie.

Przeszedł jeszcze pięćdziesiąt metrów i wówczas... Początkowo David myślał, że użądliła go osa, ale natychmiast przypomniał sobie, że przecież jest marzec, że w marcu nie ma os.

Mężczyzna szarpnął się i zadarł głowę. Dotknął ręką szyi. Po chwili szarpnął się ponownie, lecz tym razem zabolowało go ramię. Chwycił się za nie i zawirował wokół własnej osi, jakby ktoś go postrzelił. Ale nie, nie słyszeli żadnego huk, a w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Mężczyzna - nie mieli już wątpliwości, że jest to pan Netherby - krzyknął, głosem cienkim i przejmującym. Ugięło się pod nim kolano. Potem wygiął w łuk plecy. Wreszcie upadł i przeraźliwie krzycząc, zakrzywionymi jak szpony palcami zaczął orać powietrze.

- Co mu jest? - szepnęła Jill z wytrzeszczonymi oczami.

David tylko pokręcił głową. Nie mógł mówić.

Widok był tym potworniej szy, że wszystko działo się w nocnej ciszy, w srebrzystej poświacie księżyca. Pan Netherby upiornie podrygiwał, miotał się na wszystkie strony jak obłąkana kukielka, drgały mu na przemian to ręce, to nogi, to głowa, to całe ciało. Jill i David mogli jedynie stać i patrzeć. Kiedy już myśleli, że inspektor nie żyje, ten nagle podniósł dyplomatkę i jakimś cudem dźwignął się z ziemi. Przez chwilę stał, balansując na skraju klifu.

- Zamelduję o tym władzom! - krzyknął.

W tym samym momencie coś musiało trafić go prosto w serce, zachwiał się i runął w czarną, najeżoną skałami otchłań.

Dzieci długo milczały. Potem David objął Jill ramieniem i powiedział:

- Lepiej wracajmy.

Jednak noc się jeszcze nie skończyła. Przynajmniej dla niego.

Niezauważenie wślizgnęli się szybko do szkoły i pożegnali szeptem na korytarzu. Pozostali chłopcy już dawno spali. David rozebrał się i położył do łóżka, lecz nie mógł zasnąć. Leżał tak i leżał, myśląc o tym, co się stało i co może się jeszcze stać. I nagle usłyszał ten głos:

- Davidzie...

Ktoś wypowiedział szeptem jego imię, ktoś, kogo w sypialni nie było. David przewrócił się na drugi bok i ukrył głowę pod poduszką, przekonany, że to tylko gra wyobraźni.

- Davidzie...

Znowu. Ten sam szept, cichy, lecz natrętny. Rozbrzmiewał nie tylko tuż przy uchu, ale i w całej głowie. David usiadł, popatrzył w lewo, popatrzył w prawo. Nikt się nie poruszył.

- Davidzie, chodź do nas...

Musiał posłuchać rozkazu. Niemal jak w transie, wstał z łóżka, włożył szlafrok i bezszelestnie wyszedł z sypialni. Korytarz tonął w aksamitnej ciemności, lecz w holu na dole zobaczył otwarte drzwi, zza których padała smuga światła, malując na dywanie wielki prostokąt. To właśnie tam wzywał go ten głos: do pokoju nauczycielskiego. David zawahał się, nie wiedząc, co tam zastanie, jednak szept nalegał, szept nieustannie ponaglał. Chłopiec musiał, po prostu musiał go posłuchać.

Schody, drzwi: wszedł bez pukania. I tam, w jaskrawym świetle, trans minął, David stanął oko w oko ze wszystkimi pracownikami Szkoły Pod Wieżycami.

Przy drzwiach siedziała w fotelu pani Kanabil, robiąc coś na drutach. Obok niej siedział pan Humus, który miał zamknięte oczy i chyba nie oddychał. Przy kominku przycupnął Gregor, dokładnie zaś naprzeciwko Gregora siedział pan Lupus ze spuchniętym i mocno zaczerwienionym policzkiem. Davidowi przypomniawszy się leśny stwór, to, jak uderzył go kijem, dlatego nie zdziwił się zbytnio, gdy nauczyciel francuskiego obrzucił go jadowitym spojrzeniem. Ale to pani Pedicure przykuła jego uwagę. Zajmowała miejsce przy stole pośrodku pokoju i kiedy wszedł, głośno zachichotała, rzucając coś na podłogę. Była to

gliniana figurka mężczyzny w okularach, z maleńką dyplomatką w ręku. Z jego szyi, ramion, nóg i piersi sterczało dwanaście szpilek. Szpilka trzynasta tkwiła w jego sercu.

- Wejź, Davidzie.

Przy oknie, tyłem do drzwi, stał pan Damortus. Odwrócił się, podszedł do stołu i spojrzał na glinianą figurkę.

- Naprawdę myślałeś, że uda ci się nas oszukać? - W jego głosie nie było ani cienia gniewu. Pan Damortus po prostu pytał, rzeczowo i konkretnie. Jednakże gniew i zło krążyły po pokoju niczym gęsty dym z cygara. - Kiedy napisaliście ten list, wydaliście na niego wyrok śmierci. Żałuję, ale nie daliście nam żadnego wyboru.

Podniósł głowę i spojrzał na Davida.

- I co my z tobą zrobimy, chłopcze? Dobrze się uczysz. Myślę, że zaczyna ci się tu podobać. Ale wciąż stawiasz nam opór. Zawładnęliśmy twoim ciałem. Zawładnęliśmy umysłem. A ty wciąż nie chcesz oddać nam duszy.

David otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz pan Damortus uciszył go gestem ręki.

- Zaczyna brakować nam czasu, chłopcze - kontynuował. - Praktycznie rzecz biorąc, zostało nam jeszcze tylko kilka dni. Byłoby mi smutno, gdybyśmy cię stracili. Nam wszystkim byłoby smutno. Dlatego postanowiłem sięgnąć po środki ostateczne.

Pan Damortus podniósł figurkę i wyciągnął szpilkę z jej serca. Na blat stołu spłynęła pojedyncza kropla krwi.

- Jutro o pierwszej stawisz się w gabinecie - rozkazał. - Nadeszła pora, żebyś poznał dyrektorów.

Dyrektorzy

Nadeszła pora, żebyś poznał dyrektorów. David słyszał, jak rozmawiali. Był w ich gabinecie. Ale odkąd przybył na Czarcią Wyspę, nie widział ani pana Laterga, ani pana Rankora.

Tej nocy prawie nie zmrużył oka. Nie wiedzieć czemu, był zły. To niesprawiedliwe, myślał. Butelki były pomysłem Jill, więc dlaczego wsiedli na mnie? I co ze mną zrobią ci dyrektorzy? W Beton College każda wizyta u dyrektora nieuchronnie oznaczała sześć razy różgą. Ten sadysta bił chłopców nawet na semestralnym przyjęciu z sherry, a kiedyś, podczas pewnej pamiętnej wywiadówki, wychłostał dwoje rodziców. Szkoła Pod Wieżycami miała dwóch dyrektorów. Czy to znaczyło, że oberwie różgą dwanaście razy?

O drugiej w końcu zasnął. Spał bardzo niespokojnie, śniąc o wilkach, pierścieniach z czarnym kamieniem i o lustrach, które niczego nie odbijały. Śniło mu się też, że stoi na krawędzi skalnego klifu i patrzy na spadającego w otchłań inspektora. Z tym, że to on trzymał w ręku woskową figurkę i to on wbijał w nią szpilki. Potem zobaczył, że płaskim, trawiastym wierzchołkiem klifu jedzie ku niemu ojciec w wózku, wymachując paczką Frutiny. David wycelował w niego palcem, mruknął coś, czego sam nie zrozumiał i ojciec stanął w płomieniach. A jeszcze potem.....się obudził.

Dzień włókł się jak worek cegieł. Matematyka, historia, literatura angielska... Przez cały ranek nie widział Jill, ale tak było chyba lepiej, bo nie miał ochoty na rozmowy. Nie rozumiał, co się do niego mówi. Mógł myśleć tylko o wizycie u dyrektorów i nie odrywał wzroku od zegara w klasie. Wskazówki poruszały się chyba szybciej niż zwykle. Poza tym wszyscy wiedzieli. O nim i o spotkaniu. Zerkali na niego, widział, jak między sobą szepczą. Nauczyciele robili co mogli, żeby nie zwracać na niego uwagi.

W końcu nadeszła pora. Kusilo go, żeby wziąć nogi za pas i gdzieś się ukryć, lecz wiedział, że to na nic. Znaleźliby go i zawlekli do gabinetu, a bez względu na to, co o nim myśleli, nie chciał, żeby mieli go za tchórza. Punktualnie o pierwszej stanął przed drzwiami z napisem „Dyrektorzy”. Wziął głęboki oddech. Podniósł rękę. I zapukał.

- Proszę...

-... otwarte.

Odezwali się obaj, najpierw pan Laterg, potem pan Rankor. David wszedł.

Słońce musiało schować się za chmurą, ponieważ przez okienne witraże sączyła się jedynie smuzka światła i w gabinecie panował mrok. Czarna, marmurowa podłoga też nie powinna być tak ciemna: ostatecznie był środek dnia. David zamknął drzwi i powoli ruszył w stronę biurka. Za biurkiem siedziało dwóch mężczyzn. Nie. Jeden. Ale...

I wtedy w przyływie potwornego przerażenia, które załęgło się w dole kręgosłupa i błyskawicznie sięgnęło karku, David wszystko zrozumiał. Szkoła Pod Wieżycami miała tylko jednego dyrektora - jednego dyrektora o dwóch... głowach. Innymi słowy, kierowały nią dwie głowy wyrastające z jednego ciała. Zupełnie łysy pan Laterg miał haczykowaty nos i sepie oczy, natomiast pan Rankor rzadkie, siwe włosy, maleńką bródkę i okulary na nosie. Byli w ciemnym garniturze i jaskrawozielonym krawacie i siedzieli za biurkiem na jednym krześle. Dwie głowy i szyja w kształcie litery Y. Mdlejąc, David zastanawiał się, który z nich wybrał ten krawat.

Ocknął się w sypialni, na własnym łóżku. - Jak się czujesz, kochanie?

Z brzegu łóżka przypatrywała mu się zaniepokojona pani Kanabil. W rękę miała gąbkę i miseczkę. Rozpięła mu kołnierz koszuli i przemywała twarz zimną wodą.

- Najwyraźniej nie byłeś jeszcze gotowy na spotkanie z dyrektorami - powiedziała. - Wiem, to dość stresujące. Ci biedacy byli bardzo przystojni. Kiedyś, przed tym małym wypadkiem.

Jeśli to był „mały wypadek”, pomyślał David, co według tej baby byłoby wielką katastrofą?

- Bardzo się o ciebie martwimy, mój drogi. - Pani Kanabil chciała mu przetrzeć czoło, lecz David się odsunął. W miseczce była pewnie zwykła woda, ale nigdy nic nie wiadomo. Jeden chlust i mógłby obudzić się z trzema dodatkowymi oczami i pociągami do świeżej krwi.

Zarządczyni westchnęła i wrzuciła gąbkę do miseczki.

- Kłopot w tym - kontynuowała - że przyjechałeś do nas dość późno i nie zostało nam zbyt dużo czasu. Ile to? Już tylko dwa dni! Żał byłoby cię stracić, Davidzie, naprawdę żal. Taki miły z ciebie chłopiec. Szkoda, że...

- Niech pani da mi święty spokój! - David odwrócił głowę. Nie mógł na nią patrzeć. Pani Kanabil musiała być czyjąś babką, lecz jej wnuczkiem był pewnie Kuba Rozpruwacz.

- Dobrze, kochanie. Widzę, że wciąż jesteś zdenerwowany...

Wstała i wyszła z sypialni.

David leżał na łóżku, ciesząc się samotnością. Musiał pomyśleć, musiał opracować jakiś... jakiś plan. Powoli zapominał o dwugłowym dyrektorze, jakby mózg chciał wydalić z siebie ten koszmarny obraz. Dlatego pomyślał o pani Kanabil, o tym, co mu przed chwilą powiedziała.

„Już tylko dwa dni!” Dlaczego dwa dni?

I nagle go olśniło. Dlaczego nie wpadł na to od razu? Tego dnia było drugiego marca. Nie obchodzili żadnych świąt, na wyspę nie docierała poczta, dlatego łatwo tu było zapomnieć o upływie czasu. Ale o dniu czwartego marca David zapomnieć nie mógł. Czwartego marca, więc dokładnie za dwa dni, obchodził swoje trzynaste urodziny.

Przypomniał sobie coś jeszcze. Kiedyś rozmawiał: Jeffreyem - w czasach, kiedy mógł z nim jeszcze rozmawiać - i Jeffrey powiedział, że ma pecha, ponieważ obchodzi urodziny drugiego dnia świąt. W natłoku wydarzeń szybko uleciało mu to z pamięci i wróciło dopiero teraz. Jeffrey zmienił się właśnie drugiego dnia świąt. Drugiego dnia świąt dostał złoty pierścień z czarnym kamieniem. W swoje trzynaste urodziny.

Tak więc za dwa dni miała przyjść jego kolej. Albo przyjmie pierścień i wszystko to, co się z nim łączy, albo...

Nie, o drugim „albo” nie chciał nawet myśleć.

Spuścił nogi z łóżka i wstał. Nie mógł dłużej czekać. Mie miał czasu. Musiał uciec ze szkoły. Musiał uciec z Czarnej Wyspy.

I wiedział już jak.

Ucieczka

Nazajutrz, dzień przed jego trzynastymi urodzinami, na wyspę przyплыł kapitan Krwawy. Był wtorek i, jak w każdy wtorek, przywiózł trzy skrzynie zapasów. W środę wieczorem urządzano wielkie przyjęcie - David nie miał wątpliwości, że honorowym gościem będzie właśnie on. Rzecz w tym, że nie zamierzał w nim uczestniczyć. Wiedział, że jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, honorowy gość będzie w tym czasie jechał pociągiem do Londynu.

O zachodzie słońca on i Jill przycupnęli za wydumą, obserwując, jak Gregor i kapitan Krwawy wyładowują z łodzi ostatnią skrzynię. Krwawy się spóźnił, lecz w końcu przyплыł i był ich ostatnią nadzieją. Od spotkania z dyrektorami David prawie się nie odzywał, a Jill też była dziwnie milcząca i zdenerwowana. Jednak to właśnie ona przerwała ciszę.

- To nie wypali - powiedziała. - Mówiłam ci, tam nie ma gdzie się schować. Krwawy natychmiast nas zauważy.

- Nigdzie nie będziemy się chować - odparł David.

- W takim razie co? Ukradniemy łódź?

- Otóż to.

Jill spojrzała na niego tak, jakby urwał się z choinki, jednak twarz Davida była blada i poważna.

- Ukradniemy łódź?

- Kiedy przywiózł nas na wyspę, zostawił kluczyki w stacyjce. Widziałem. - David obliznął spierzchnięte wargi. - Tego się nie spodziewają. To nasza jedyna szansa.

- Umiesz sterować łodzią?

- Nie, ale to nie może być trudniejsze od kierowania samochodem.

- Tak, ale w samochodzie nie można się utopić. David po raz ostatni spojrzał w stronę skał. Kapitan i Gregor zniknęli, warkot dzipa ucichł. Klepnął Jill w ramię i przez łache chrzęszczącego żwiru puścili się pędem w kierunku pomostu. Łódź kołysała się lekko na

falach. Kapitan nie rzucił kotwicy, lecz przywiązał ją do pachołka liną z węzłem, który wyglądał jak sześć ślimaków w pralce.

David zerknął na linę, wskoczył na pokład, podszedł do koła sterowego i poszukał wzrokiem kluczyków. Łódź przechyliła się gwałtownie na lewą burtę i przez jedną straszliwą chwilę myślał, że się pomylił, że Krwawy zabrał kluczyki ze sobą. Lecz w tym samym momencie łódź przechyliła się na burtę prawą i na końcu krótkiego łańcuszka zobaczył pęk kluczy ze szmaragdowym brelokiem w kształcie czaszki. Jeden z nich tkwił w stacyjce. David odetchnął. Wiedział, że za kilka chwil już ich tu nie będzie.

- Jak to działa?

Na pokład weszła Jill i stanąwszy obok niego, stanowczym głosem zażądała wyjaśnień. David przebiegł wzrokiem po desce rozdzielczej. Było tam koło sterowe - tym posługiwać się umiał - i jakaś dźwignia, coś w rodzaju dźwigni zmiany biegów: kiedy przesuwano się ją do przodu, łódź płynęła do przodu, kiedy pchnęło się ją do tyłu, łódź też płynęła do tyłu. Ale przeznaczenia pozostałych przycisków, przełączników, liczników i kompasów nie znał i równie dobrze mogły zostać zainstalowane po to, żeby wysłać łódź na księżyc.

- No więc? - nie ustępowała Jill.

- To proste. - Rozdrażniony David posłał jej gniewne spojrzenie. - Wystarczy przekręcić kluczyk...

- To czemu go nie przekręcisz?

- Właśnie zamierzałem. I przekręciłem.

Cisza. Silnik milczał.

David spróbował jeszcze raz, omal nie wyginając kluczyka, mimo to silnik ani nie prychnął, ani nawet nie mruknął.

- Zawsze możemy popłynąć wpław... - zaczęła Jill.

W tym samym momencie David wyciągnął rękę i wcisnął wielki, czerwony guzik nad kluczykiem. Silnik ożył z głośnym warkotem, a za rufą spieniła się woda.

- Rozwiążę ten węzeł. - David zrobił krok w stronę dziobu.

- Nie. - Jill podniosła z pokładu nóż do oprawiania ryb. - Ja to zrobię. Ty stój przy sterze.

Krwawy przywiązał linę w taki sposób, że aby ją przeciąć, dziewczynka musiała wejść na pomost. Przykucnęła przy pachołku i przystąpiła do pracy. Nóż był ostry, lecz lina należała do tych bardzo grubych i chociaż Jill piłowała ją ze wszystkich sił, wyglądało na to, że sobie nie poradzi. David czekał, czując, jak drżą i wibrują pod nim deski pokładu. Silnik

dudnił głośniej niż zwykle, a przynajmniej tak mu się wydawało. Usłyszą ich? Podniósł wzrok.

I zamarł.

Wracał kapitan Krwawy. Warkot musiał dotrzeć do szkoły wraz z wiatrem. A może pan Damortus zobaczył, że nie ma ich na podwieczorku? Tak czy inaczej, rezultat był ten sam: zostali odkryci. Droga pędził dżip, a w dżipie siedzieli Krwawy i Gregor.

- Jill! - krzyknął David.

Ale Jill musiała dostrzec ich pierwsza.

- Zostań tam! - odkrzyknęła i podwoiła wysiłki, tnąc linę jak oszalała skrzypaczka. Przecięła już niemal połowę, lecz dżip był z każdą chwilą bliżej. Dojeżdżał do podnóża klifu, jeszcze dwadzieścia sekund i wyhamuje przy pomoście.

Jill zerknęła w tamtą stronę, wzięła głęboki oddech i pochyliła się jeszcze mocniej, zawzięcie tnąc i dźgając odporne włókna. Lina była już wystrzępiona, mimo to wciąż nie chciała puścić.

- Szybciej! - wrzasnął David.

W żaden sposób nie mógł jej pomóc. Nogi miał jak z kamienia. Dżip dojechał do pomostu i z piskiem zahamował. Wyskoczyli z niego Krwawy i Gregor. Jill miała przerażoną twarz, wiatr rozwiewał jej włosy, lecz ani na sekundę nie przestała ciąć. Nóż wgrzył się w kolejne włókno. Włókno pękło.

Przodem biegł Gregor - jego buty zadudniły na pomoście. Jill przeraźliwie krzyknęła i cięła ostatni raz.

Lina puściła.

- Jill! - krzyknął David.

Ale było już za późno. Gregor odbił się, skoczył jak wielka ropucha i zanim dziewczynka zdążyła zareagować, oplótł ją rękami i nogami i powalił na pomost.

- Uciekaj, David! Uciekaj!

David szarpnął dźwignią do tyłu. Za rufą zakotłowała się woda i łódź powoli odbiła, wlokąc po pomoście przeciętą linę.

Wtedy do akcji wkroczył kapitan Krwawy. Skoczył jeszcze dalej niż Gregor, z triumfalnym okrzykiem chwycił koniec liny i mocno ją przytrzymał.

Łódź odpłynęła ledwie kilka metrów od pomostu. Zrozpaczona Jill, przygnieciona ciężarem ohydnie chichoczącego karła z wylupiastym okiem, mogła tylko bezradnie patrzeć. Silnik wył na pełnych obrotach, śruba młóciła wodę i muł, mimo to łódź stała w miejscu, gdyż kapitan Krwawy zaparł się nogami o pomost i niczym kowboj próbujący okiełznać

dzikiego mustanga, kurczowo ścisnął w rękach napiętą linę. Miał mocno zaciśnięte usta, z wysiłku poczerwieniała mu twarz - David nie wierzył własnym oczom. To niemożliwe! Kiedyś będzie musiał ją puścić! Przecież nikt nie utrzyma łodzi z pracującym pełną mocą silnikiem!

Dźwignia sterowała z rowka prowadnicy: do końca rowka zostało jeszcze dwa, dwa i pół centymetra. Z rozpaczliwym okrzykiem chłopiec rzucił się na deskę rozdzielczą i pchnął manetkę do oporu.

Mimo to kapitan Krwawy wytrzymał! Siłowali się jak mocarze, łódź z człowiekiem, człowiek z łodzią. Łódź zaczynała stawać dęba, rufa prawie wychyłała z wody, lecz ręce kapitana zacisnęły się na linie jak stalowe kleszcze...

- Aaaaaaghr!

Rozległ się chrapliwy, gardłowy okrzyk. W tej samej chwili łódź skoczyła do tyłu jak wyrzucona z katapulty. David wytrzeszczył oczy.

Ręce kapitana wciąż ścisnęły linę, lecz były to ręce oderwane od ramion, wyszarpane z ciała siłą ciągu silnika: niczym dwa blad różowe kraby, wpadły z pluskiem do wody i kurczowo ucepione liny, popłynęły za łodzią.

Davidowi zrobiło się niedobrze. Gwałtownie obrócił kołem sterowym i pchnął dźwignię do przodu. Za rufą zakotłowała się woda i chłopiec wypłynął w morze, zostawiając za sobą Szkołę Pod Wieżycami, Czarcia Wyspę, Jill i bezrękiego kapitana Krwawego.

Pociąg-widmo

Biegł przez wysoką do ramion trawę. Na brzegu została łódź, tyle że zamiast cumować przy pomoście, tkwiła w nim jak klin pośród zdruzgotanych pali i roztrzaskanych desek. Podróż na ląd była bardzo burzliwa.

Wstał już dzień. Dziwne przełączniki i kompasy na desce rozdzielczej, mgła oraz silne prądy sprawiły, że płynął znacznie dłużej, niż oczekiwał, i kiedy wreszcie roztrzaskał łódź o pomost, zapadł już zmierzch. Musiał spędzić noc w zdruzgotanej kabinie i dopiero o świcie zdał sobie sprawę, że dobił do brzegu dokładnie w tym samym miejscu, z którego przed wieloma tygodniami wypłynął na Czarcia Wyspę.

Porośnięte wysoką trawą pole pięło się łagodnie ku jaskrawobiałemu wiatrakowi, który David zauważył, jadąc karawanem w tamtą stronę. Gdy podbiegł bliżej, okazało się, że wiatrak jest zniszczony, opuszczony, sponiewierany przez wiatr i deszcz. Skrzydła były jedynie ramami skrzydeł, powyginanymi kawałkami drewna przypominającymi owadzie

szkielety. Myślał, że znajdzie tam telefon, lecz niestety. Wiatrak nie żył już co najmniej od stu lat i linie telefoniczne go ominęły.

Ale za wiatrakiem biegła szeroka, asfaltowa szosa, więc przemarznięty i wyczerpany stanął na jej poboczu. Szosą coś śmignęło i David szybko zamrugał. Zdążył już zapomnieć, jak wygląda zwykły samochód. Nerwowo zerknął przez ramię. Nie, nikt ze szkoły go chyba nie ścigał, to niemożliwe. Jednakże wiedział, że przyjaciele pana Damortusa są nieobliczalni, dlatego stojąc w ciszy spowijającej trawiastą równinę, czuł się zagubiony i bezbronny.

Musiał dotrzeć do najbliższego miasta, do cywilizacji. Nie miał pieniędzy i pozostawało mu jedynie liczyć na okazję. Wyciągnął rękę i zadarł kciuk. Któryś na pewno się zatrzyma. Któryś musi się zatrzymać.

Szosą przejechało siedemdziesiąt jeden samochodów; dokładnie liczył. Nie tylko się nie zatrzymywały, ale i wyraźnie przyspieszały, jakby chciały go ominąć. Dlaczego? Przecież był zwykłym chłopcem, zmęczonym trzynastolatkiem w pomiętym ubraniu, który stał na pustkowiu, próbując złapać okazję. Boże, tego dnia skończył trzynaście lat!

- Wszystkiego najlepszego - wymamrotał do siebie i przybity, ponownie wyciągnął rękę.

Zatrzymał się dopiero siedemdziesiąty ósmy, jaskrawoczerwony ford cortina, za kierownicą którego siedział gruby, rubaszny mężczyzna nazwiskiem Horacy Tobago. Okazało się, że pan Tobago jest komiwojażerem, że sprzedaje „śmieszne rzeczy” i magiczne sztuczki. Zresztą nie musiał nic mówić. Kiedy David wsiadał do samochodu, siedzenie wydało charakterystyczny, bardzo brzydki odgłos. Zaraz potem dostał cukierka na powitanie: cukierek był z mydła. A w schowku na mapy, na pięć gumowych kiełbasek, siedziały dwie gołębice i królik.

- Z daleka idziesz? - spytał Horacy. Zadarł brodę i zawirowała mu muszka.

- Ze szkoły - mruknął David.

- Uciekłeś? - Horacy uniósł brwi, najpierw jedną, potem drugą, i szybko pokręcił czubkiem nosa.

- Tak. - David wziął głęboki oddech. - Muszę iść na policję.

- Po co?

- Grozi mi niebezpieczeństwo. To obłąkana szkoła. Jest na wyspie. Wszyscy nauczyciele są wampirami, czarownicami i duchami i... i chcą mnie w to wszystko wciągnąć. Muszę ich powstrzymać!

- Hahahaaaghr! - Zabrzmiało to jak śmiech dławiącej się krowy. Horacy poczerwieniał na twarzy, a z czerwonego kwiatka w jego butonierce trysnęła woda. - Widzę, że z ciebie też

niezły żartownisi - wykrzyknął. - Lubisz się pośmiać, co? Chcesz, to sprzedam ci śmierdzącą gazbombę albo plastikowe...

- Mówię prawdę! - przerwał mu David.

- Ależ oczywiście! No jasne! A ja jestem hrabia Dracula! - Horacy ponownie wybuchnął śmiechem. - Wampiry i czarownice! Ale ubaw! Ale ubaw!

David wysiadł w pierwszym napotkanym mieście, w Hunstanton. Horacy Tobago śmiał się tak głośno i rubasznie, że policzki miał mokre od łez, a z podbródka odpadła mu sztuczna brodawka. Odjeżdżając, wciąż przeraźliwie chichotał, a gdy pomachał chłopcu na pożegnanie, z rękawa posypały mu się karty do pokera. David odczekał, aż samochód zniknie za rogiem. Potem szybko ruszył przed siebie.

Hunstanton, nadmorski kurort, latem było zapewne kolorowe i pełne życia, ale zimą zmieniało się w skupisko szarych dachów, wież, sklepów i pawilonów stojących na zboczu wzgórza opadającego ku brzegowi zimnego, wzburzonego morza. Był tam mały port, a w porcie cumowały na wpół owinięte sieciami łodzie, do złudzenia przypominające ryby, które miały łowić. W oddali stało kilkanaście namiotów, bud i wielkich drewnianych tablic, otaczających coś, co latem mogło być lunaparkiem, miejscem wesołych gier i zabaw. Ale tego pochmurnego, wiosennego dnia w Hunstanton nie było ani wesoło, ani zabawnie.

David musiał znaleźć posterunek policji, lecz gdy tylko wyruszył na poszukiwanie, uderzyła go okropna myśl. Horacy Tobago mu nie uwierzył. Dlaczego miałyby uwierzyć mu policja? Gdyby zaczął im opowiadać o czarach i czarnej magii, wezwaliby pewnie sanitariuszy z miejscowego domu dla umysłowo chorych. Co gorsze, mogliby zadzwonić do szkoły. Miał tylko trzynaście lat, a przecież wszyscy wiedzą, że dorośli dzieciom nie wierzą.

Przystanął i rozejrzał się po ulicy. Stał przed biblioteką i pod wpływem nagłego impulsu postanowił tam wejść. Przynajmniej mógł coś zrobić, mógł dowiedzieć się czegoś na interesujący go temat. Zdawał sobie sprawę, że im więcej się dowie, tym większe będzie miał szanse na przekonanie tych z policji i uznał, że trzeba zacząć od książek.

Niestety, dział z książkami o czarnej magii był bardzo słabo zaopatrzony. David znalazł tylko trzy pozycje, w tym dwie, które przybłąkały się tam z sąsiedniej półki, z działu kulinarnego, i traktowały o zastosowaniu magii. Ale książka trzecia wyglądała całkiem obiecująco. Była to *Czarna magia w Wielkiej Brytanii* autorstwa niejakiej Winny H. Zoothroat. David przejrzał ją, a potem usiadł przy stole, żeby dogłębniej zapoznać się z jej treścią.

KONWOKACJA: Zgromadzenie czarownic lub czarowników, zwykle trzynastu lub wielokrotności trzynastu. Dwunastka jest często uważana za liczbę doskonałą, trzynastka zaś oznacza śmierć. Trzydzieści lat to również wiek inicjacji nowicjusza.

INICJACJA: Nowa czarownica lub czarownik musi wpisać swoje nazwisko w czarnej księdze przechowywanej przez najwyższego mistrza. Tradycja nakazuje, żeby wpisać je własną krwią. Gdy przyszła czarownica lub czarownik to zrobi, otrzymuje nowe nazwisko symbolizujące władzę i moc. Częstokroć jest to nazwisko zmarłej czarownicy, które nowicjusz przybiera z szacunku dla jej dokonań.

CZAROWNICE: Najbardziej znane angielskie czarownice i czarownicy to przede wszystkim Roger Bacon, który zasłynął z tego, że przeszedł między dwiema wieżycami w Oksfordzie, Bessie Dunlop, którą spalono na stosie, oraz William Rufus, trzynastowieczny Mistrz-Szatan.

SABAT: Złot czarownic i czarowników. Ma miejsce o północy. Przed wyruszeniem na sabat czarownicy nacierają się wywarem z cykuty i tojadu. Wywar ten wprowadza ich w stan podobny do snu i, jak wierzą, pomaga uwolnić tajemne moce.

CZARY: najbardziej znanym czarem jest tak zwane „prawo analogii”. Woskowa figurka człowieka symbolizuje w nim przedmiot gniewu osoby rzucającej czar. Człowiek odczuwa wszystko to, co czarownik robi z figurką.

Najpotężniejszym narzędziem czarownika jest tak zwany „domownik”, stworzenie, które pełni rolę kogoś w rodzaju domowego sługi. Najpospolitszym domownikiem jest kot, lecz bywają też inne, na przykład prosię, a nawet kruk.

Czytając książkę, David stracił poczucie czasu, lecz do wieczora dowiedział się niemal wszystkiego, co chciał wiedzieć o Szkole Pod Wieżycami, jak również kilku rzeczy, których dowiedzieć się nie chciał. Książka zawierała jeszcze jedną niespodziankę. Już miał wstać i odłożyć ją na półkę, gdy wtem otworzyła się na przedostatniej stronie i jego wzrok padł na wytłuszczony fragment tekstu.

SZKOŁA POD WIEŻYCAMI: Patrz: przypis wydawcy.

Zaciekawiony odwrócił kartkę i na dole strony przeczytał:

Pisząc tę książkę, Winny H. Zoothroat pojechała do hrabstwa Norfolk, żeby odwiedzić Szkołę Pod Wieżycami, legendarną „Akademię Czarnoksięstwa”, gdzie młodzi nowicjusze studiowali niegdyś sztukę czarnej magii.

Niestety, już z tej wyprawy nie wróciła. Kilka miesięcy później morze wyrzuciło na brzeg jej maszynę do pisania. Dla uczczenia pamięci badaczki, wydawca postanowił nie rozwijać niniejszego hasła.

Akademia czarnej magii! Akademia czarnej magii! Słowa te pobrzmiewały mu w uszach, gdy wychodził z biblioteki. Oczywiście, czy Szkoła Pod Wieżycami mogła być czymś innym? Łacina, woskowe figurki, dziwaczne potrawy, religia nie mająca nic wspólnego z religią chrześcijańską: wszystko pasowało. Ale on nigdy nie chciał być czarownikiem. Dlaczego więc wybrali właśnie jego?

Szedł ulicą, mijając sklepy, z których wychodzili ostatni tego dnia klienci. Wtem kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Przystanął i spojrzął za siebie. Przez chwilę myślał, że znowu ma przywidzenia, ale nie, to działo się naprawdę: zza samochodu wykuśtykał zdeformowany karzeł i szybko przebiegł na drugą stronę ulicy. Gregor.

Jakimś cudem dotarł do Hunstanton - David doskonale wiedział, co tu robi. Bez namysłu puścił się pędem przed siebie i zbiegł ze wzgórza aż nad morze. Gdyby go schwytano, czekała go śmierć. Tak, ci ze szkoły woleliby go zabić, niż ryzykować, że wszystko rozpowie. Dwa razy zabili już na pewno. Ciekawe, ilu ludzi skończyło na przyszłokolnym cmentarzu wcześniej, niż się tego spodziewało?

Przystanął dopiero na brzegu, żeby złapać oddech i trochę się uspokoić. Nie, to tylko przypadek, zwykły zbieg okoliczności. Na pewno. Nikt w szkole nie mógł wiedzieć, że wciąż jest w Hunstanton.

Kilka kroków za nim rozległ się ohydny chichot. Gregor. Siedział na niskim, ceglany murku, obserwując go paciorkowatym okiem. Nagle wyjął coś zza pasa. Był to nóż, na osiemnaście centymetrów długi i złowieszco błyszczący. Wciąż chichocząc, karzeł polizał ostrze. David odwrócił się i pobiegł przed siebie.

Nie miał pojęcia, dokąd pędzi. Ilekroć postawił nogę na twardym, zimnym chodniku, cały świat chwiało się i dygotało. Słyszał jedynie swój ciężki oddech. Kiedy obejrzał się za siebie, karła już nie było. Miasto pozostało daleko z tyłu. Dobiegł do końca nadmorskiej promenady.

Otaczały go sflaczałe namioty i drewniane budki. Lunapark! Stał w samym środku lunaparku! - Chcesz się przejechać, synku?

Odezwał się do niego starzec z papierosem zwisającym z kącika ust. Był w porwanej kurtce i pilnował chyba pociągu-widma, trzech wagoników - niebieskiego, zielonego i żółtego - stojących na krętych szynach przed wahadłowymi drzwiami.

- Słucham? - David zerknął w stronę promenady. Ani śladu Gregora.

- Muszę go puścić na próbną jazdę. - Starzec wyjął z ust papierosa i zakaszłał. - Masz fart, możesz przejechać się za darmo.

- Nie, dzięki... - Wypowiadając te słowa, ponownie ujrzał Gregora, który właśnie wbiegał na teren lunaparku. Ten jeszcze go nie dostrzegł, lecz szukał, cały czas szukał. W ręku wciąż ścisnął nóż. Trzymał go nisko, ostrzem do góry.

David wskoczył do wagonika. Musiał czym prędzej zejść mu z oczu. Może wystarczy kilka minut w pociągu-widmie.

- Trzymaj się! - Starzec wcisnął guzik. Wagoniki szarpnęły i ruszyły.

Sekundę później wpadły na wahadłowe drzwi. Drzwi się otworzyły, zamknęły i Davida pochłonęła ciemność tak aksamitna i gęsta, że przez chwilę myślał, iż się uduśi. Wtem za plastikową czaszką zapłonęło czerwone światło i głośno odetchnął. Czaszka miała go pewnie przestraszyć, tymczasem jedynie rozśmieszyła. Przypomniawszy sobie, że to tylko zabawa, tania przejażdżka tunelem pełnym plastikowych masek i kolorowych żarówek. Ożył ukryty głośnik: Auuuuuuu! i David zdołał się nawet uśmiechnąć. Zamigotało zielone światełko. Na aż za dobrze widocznym drucie podskakiwał gumowy pająk. David uśmiechnął się jeszcze szerzej.

A potem pociąg runął w otchłań.

Pędził w dół tak długo i tak szybko, że podmuch powietrza rozwiał Davidowi włosy i wcisnął go w fotel. W ostatniej chwili, kiedy chłopiec już myślał, że wagoniki roztrzaskają się o dno przepaści, pociąg zwolnił, jakby na jego drodze wyrosła wypełniona powietrzem poduszka.

- Ale jazda... - szepnął David, z ulgą słysząc swój własny głos.

Rozbłysło kolejne światło, nieco mniej elektrycznie jaskrawe od tych, które świeciły na początku tunelu. W głośnikach coś zabulgotało, z tym że nie wiedzieć czemu David stracił nagle pewność, że głośniki te w ogóle istnieją. Odgłos był zbyt realistyczny. Odgłos i zapach, wilgotny i bagienny. Na początku jazdy czuł, że wagoniki mkną po szynach. Teraz zdawało się, że płyną w powietrzu.

Z ciemności wychynęła sylwetka plastikowego mężczyzny w obszernym czarnym płaszczu. Wtem mężczyzna podniósł głowę i okazało się, że nie jest to manekin, tylko żywy człowiek, człowiek, którego David dobrze znał.

- Naprawdę myślałeś, że nam uciekniesz? - spytał pan Damortus.

Pociąg-widmo pędził naprzód. Nagle wyrosła przed nim pani Kanabil.

- Nie sądziłam, że jesteś taki niemądry, kochanie - zaszczebotała.

David zamknął oczy, pewien, że wagoniki zaraz ją zmiażdżą, lecz te w ostatniej chwili skręciły i kierowane niewidzialną siłą, wpadły do komory oświetlonej łagodnym, błękitnym światłem, w której czekał dwugłowy dyrektor.

- Wielkie rozczarowanie - rzekł pan Laterg.

- Kompletna katastrofa - zgodził się z nim pan Rankor.

Pociąg-widmo pomknął do tyłu. Panna Pedicure groziła mu palcem i wymownie cmokała. Monsieur Lupus, półczłowiek, półwilk, groźnie wył. Pan Humus, błady i półprzezroczysty, chciał coś powiedzieć, lecz zamiast słów, z ust popłynęła mu morską wodą.

David mógł tylko siedzieć i patrzeć. Kurczowo trzymał się fotela, prawie nie oddychał, a przed jego oczyma przewijali się kolejni pracownicy Szkoły Pod Wieżycami. Stopy spowił mu czarny dym, a w oddali rozbłysło czerwone światło, które stawało się coraz jaśniejsze i coraz jaskrawsze. Nagle doszedł go metaliczny trzask, jakby coś uderzyło w górną część tylnej ścianki wagonika. Podniósł wzrok. Na metalowej poręczy widać było palce mocno zaciśniętych dłoni - samych dłoni, dłoni oderwanych od ramion!

David przeraźliwie krzyknął.

Pociąg-widmo ponownie wpadł na wahadłowe drzwi. Czerwone światło eksplodowało oślepiającym blaskiem, wybuchło niczym gigantyczne słońce. We włosach zaszeptał mu chłodny wiatr. Daleko w dole szumiały morskie fale, rozbijając się o skały.

Pociąg przywiózł go z powrotem na Czarcią Wyspę. Wagoniki stały na szczycie białego klifu. Nie było ani torów, ani plastikowych manekinów, ani lunaparku.

Kończył się dzień jego trzynastych urodzin i wyspę zaczynał spowijać mrok.

Przez lustro

Szkoła była opustoszała. Zbyt przybity, żeby cokolwiek robić, od razu się położył. Ucieczka nie wypaliła. Nie mógł znaleźć Jill. Nigdy w życiu nie miał gorszych urodzin i wiedział, że jeśli tak dalej pójdzie, następnych nie będzie miał wcale.

Mimo to nie mógł zasnąć. Gdzie się wszyscy podziali? Wrócił o szóstej. Leżał na łóżku już od czterech godzin i przez ten czas nie widział żywej duszy. Z drugiej strony w Szkole Pod Wieżycami żadnych dusz nie było. Już dawno temu wszystkie się zaprzedały, wiadomo komu.

Wtem usłyszał odgłos kroków na drewnianej posadzce. Gwałtownie usiadł, lecz natychmiast się odprężył, gdyż do sypialni weszła Jill.

- Jill! - wykrzyknął z ulgą.

- Cześć, David. - Sądząc po głosie, dziewczynka była równie przybita jak on. - Nie udało się, co?

- Prawie się udało, ale... To długa historia. - David zeskoczył z łóżka; leżał w ubraniu.

- Gdzie tamci?

Jill wzruszyła ramionami. Nie widział jej twarzy. Okrywał ją mroczny welon.

- Co ci zrobili, kiedy odpłynąłem?

- O tym pogadamy później. Chcę ci coś pokazać. Chodź, musisz to zobaczyć.

Lekko zaskoczony poszedł za nią korytarzem. Jill wyglądała normalnie, tak samo jak zawsze, dlatego uznał, że nie ukarano jej za próbę ucieczki. Mimo to była dziwnie chłodna i apatyczna. Może miała mu za złe, że ją zostawił. To akurat rozumiał. On też to sobie wyrzucał.

- Dowiedziałam się mnóstwa rzeczy - powiedziała, gdy schodzili schodami do holu. - O szkole i o nauczycielach.

- Jill... David wziął ją za rękę. - Przepraszam, że tak wyszło.

- Nie szkodzi. Nie ma tego złego. - Uśmiechnęła się, lecz w posepnym świetle zalewającym hol był to uśmiech trupio blady. Zabrała rękę i poszła dalej, skręcając do biblioteki. - Nauczyciele nie są... ludźmi. To znaczy są, ale niezupełnie. Pan Damortus jest wampirem, pani Kanabil czarownicą, a Laterg i Rankor to specjaliści od czarnej magii. Kiedyś wyglądali normalnie, ale sknócili jakiś eksperyment i mają teraz jedno ciało. Pan Humus jest duchem, a panna Pedicure ma kilkaset lat.

- Ale czego oni od nas chcą? - spytał David.

- Chcą nas uczyć. - Jill przekreśliła klamkę i weszli do biblioteki. - Jesteś siódmym synem siódmego syna, a ja siódmą córką siódmej córki.

- No to co?

- To znaczy, że ty jesteś czarownikiem, a ja czarownicą. Takimi się urodziliśmy. To nie nasza wina. To niczyja wina. Ale tak samo jak wszyscy tutejsi uczniowie mamy w sobie tajemną moc. Nauczyciele chcą nauczyć nas, jak ją wykorzystywać.

- Tajemną moc? - David chwycił ją, zatrzymał i obrócił ku sobie. Nie stawiała oporu, lecz spojrzała na niego tak, jak patrzy się na powietrze. - Nie mam w sobie żadnej tajemnej mocy, ty też nie!

- Masz. Mamy ją oboje. Tylko nie umiemy jej wykorzystać. - Jill stała przed lustrem. Wyciągnęła rękę, postukała w szkło i spojrzała na Davida. - Użyj jej - rzuciła. - Przejdź przez lustro.

- Przez szkło? - David spojrzał na nią i zaraz przeniósł wzrok na lustro. Przypomniawszy sobie sen, w którym przeszedł przez lustro, by wraz z innymi trafić do podziemnej groty. Ale to był tylko sen. Wtedy śnił, a teraz wszystko działo się naprawdę. Jill po prostu odbiło.

- Dasz radę - nalegała. - Masz w sobie moc. Musisz tylko jej użyć!

- Ale...

- Spróbuj!

Zły, skonsternowany i lekko wystraszony, cofnął się o krok i grzmotnął ramieniem w lustro. Rozwali je w drobny mak, to ją wreszcie przekona. Rozwali lustro, a potem sprawdził, co jej odbiło.

Ramię zanurzyło się w lustrze jak w wodzie.

Zaskoczony David stracił równowagę, potknął się i w tej samej chwili jego głowa i uniesione ręce zetknęły się ze szkłem i przecięły je, jakby zamiast szkła była tam pustka, srebrzysta nicość, jakby nagle wpadł do telewizora.

W jednej chwili był w bibliotece, a już w następnej oddychał chłodnym powietrzem tunelu, opierając się o wilgotną, skalną ścianę.

Spojrzał za siebie. Tunel kończył się czymś, co przypominało arkusz stalowej blachy. Właśnie tak wygląda lustro od tyłu. I nagle z tego arkusza wyszła Jill, wynurzyła się zeń jak z wody. Stała przed nim i wzięła się pod boki.

- Widzisz? - powiedziała. - Mówiłam.

- Ale skąd... skąd wiedziałaś? - wykrztusił David.

- Wiem dużo więcej...

Minęła go i poszła dalej. David ruszył za nią, zastanawiając się, czy nie śni. Ale nie, to było zbyt realistyczne.

Drżał na chłodnym wietrze, na wargach czuł smak soli, czuł też ciężar napierających zewsząd skał. Korytarz opadał stromo w dół, zwiększało się ciśnienie w uszach.

- Dokąd idziemy? - spytał.

- Zobaczysz - odrzekła Jill.

Przeszli chyba z półtora kilometra i nagle David stwierdził, że otacza ich dziwna, srebrzysta poświata.

W tunelu nie było ani żarówek, ani pochodni i raptem uzmysłowił sobie, że poświata przypomina srebrzystą mgłę snującą się nad podziemnym jeziorem. Jill przystanąła. David przyspieszył kroku, żeby ją dopędzić. Kawalek podbiegł i wpadł prosto do...

Była to olbrzymia grota, grota z jego snu. Stalaktyty i stalagmity strzelały w górę i zwisały ze stropu jak rzeźby ze snu samej Matki Natury. Jedną ze ścian zajmował skamieniały wodospad, jaskrawobiała, zastygła bez ruchu wieczność. Pod wodospadem stał stół ofiarny, granitowy i straszliwie ostateczny. Za stołem czekał pan Damortus. Czekał na niego. Jill go do nich przyprowadziła.

David odwrócił się w poszukiwaniu czegoś, co na pewno tam było, czegoś, co powinien był dostrzec już na samym początku. Tak, tam, na jej serdecznym palcu. Złoty pierścień z czarnym kamieniem.

- Jill... - Pokręcił głową, nie mogąc mówić. - Kiedy skończyłaś trzynaście lat? - spytał w końcu.

- Wczoraj. - Dziewczynka spojrzała na niego z wyrzutem. - Nawet nie złożyłaś mi życzeń. Ale nie szkodzi. - Posłała mu uśmiech. - Widzisz, popełniliśmy błąd. Próbowaliśmy z nimi walczyć. A oni cały czas byli po naszej stronie.

Rozpacz pochłonęła go niczym ruchome piaski. Nie miał już siły walczyć. Przegrał: nie potrafił uciec, nie potrafił stawić im czoła, nie potrafił nic. Odebrali mu Jill. Była teraz jedną z nich. Został zupełnie sam.

W końcu przyszła jego kolej.

Już na niego czekali.

Uczniowie Szkoły Pod Wieżycami jak jeden mąż wyszli z cienia na obrzeżach groty i otoczyli go zwartym kręgiem. Za panem Darmotusem stanęli pozostali nauczyciele. David podszedł powoli do granitowego stołu. Wcale nie chciał tam podejść, lecz przestały go słuchać nogi.

Zatrzymał się kilka kroków przed wicedyrektorem szkoły. Uczniowie zamknęli krąg. Wszyscy patrzyli tylko na niego.

- Walczyłeś długo i dzielnie, Davidzie - zaczął pan Damortus. - Gratuluję ci odwagi. Ale czas walki dobiegł końca. Dzisiaj obchodzisz trzynaste urodziny. Zbliża się północ. Musisz dokonać szybko wyboru. Posłuchaj. Jesteś siódmym synem siódmego syna. Dlatego sprowadziliśmy cię do Szkoły Pod Wieżycami. Masz w sobie ogromną moc. Chcemy, żebyś nauczył się ją wykorzystywać.

- Nie jestem czarownikiem! - krzyknął David. Jaskinia odpowiedziała mu echem. - I nigdy nim nie zostanę!

- Dlaczego? - Pan Damortus nie podniósł głosu, lecz przemawiał z żarliwością i pasją, jakiej David nigdy dotąd nie słyszał. - Dlaczego, Davidzie? Dlaczego nie chcesz spojrzeć na świat naszymi oczyma? Z góry zakładasz, że duchy, czarownice, wampiry i dwugłowe monstra są złe. Dlaczego? Wiesz, co to jest? To są uprzedzenia. Uprzedzenia rasowe!

Pan Laterg i pan Rankor zgodnie pokiwali głowami. Pani Kanabil cicho zakrzyknęła:

- Słuchajcie! Słuchajcie!

- Nie jesteśmy źli. Czy kiedykolwiek zrobiliśmy ci krzywdę? To prawda, musieliśmy usunąć pana Netherby'ego, ale to nie była nasza wina. To wyście go tu sprowadzili. My tylko

się broniliśmy. Kłopot w tym, że widziałeś za dużo horrorów w telewizji. Nas, wampirów, przedstawia się w nich bardzo niesprawiedliwie. A wilkołaki? Tylko dlatego, że mój dobry przyjaciel Monsieur Lupus lubi zjeść sałatkę z gołębi podczas pełni księżyca, wszyscy uważają, że mają święte prawo na niego polować i strzelać do niego srebrnymi kulami. A pan Humus? Zgoda, pan Humus nie żyje, co w niczym nie zmienia faktu, że jest świetnym nauczycielem, znacznie lepszym niż wielu z tych, którzy wciąż żyją i których nazwiska mógłbym tu wymienić.

- Ale ja nie jestem tacy jak wy - wtrącił David. - I nie chcę taki być!

- Masz w sobie moc - odrzekł pan Damortus. - Reszta się nie liczy. Dlatego powinienesz zadać sobie pytanie: czy naprawdę chciałbyś wrócić do rodziców, pójść w ślady ojca i zostać urzędnikiem bankowym? Nie wolałbyś żyć jak wolny człowiek? Przyłącz się do nas, a będziesz wolny i bogaty. Nauczymy cię wyrabiać złoto z ołowiu, niszczyć wrogów jednym pstryknięciem palcami. Pokażemy ci przyszłość, nauczymy cię ją odpowiednio wykorzystywać. Pomyśl, Davidzie! Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz, i dużo, dużo więcej! Spójrz tylko na panią Pedicure. Wiesz, ile ona ma lat? Ty mógłbyś żyć jeszcze dłużej... Zgoda, przyznaję, jesteśmy źli. Pan Laterg i pan Rankor, moi serdeczni przyjaciele, są chyba najgorsi z nas wszystkich; zdobywali za to nagrody. Ale cóż złego jest w tym, że ktoś jest zły? To nie my zrzuciliśmy bombę atomową. To nie my zanieczyszczamy środowisko. To nie my eksperymentujemy na zwierzętach. To nie my regularnie zmniejszamy budżet na ochronę zdrowia. Nasze zło jest miłe. Jak myślisz, dlaczego nakręcono o nas tyle filmów i napisano tyle książek? Dlatego, że ludzie nas lubią. Jesteśmy ucieleśnieniem zła... przyjemnego, dobrotliwego.

Podczas gdy pan Damortus przemawiał, uczniowie Szkoły Pod Wieżycami, sześćdziesięcioro czworo młodych nowicjuszy, czarowników i czarownic, jeszcze bardziej zacieśniło krąg. Wszyscy przeszywali Davida wzrokiem. Jill stała obok Jeffreya. Naprzeciwko nich stał William Rufus. W półmroku błyszcząły sześćdziesiąt cztery złote pierścienie.

W ręku pana Damortusa błyszczał sześćdziesiąty piąty.

- Miło się z tobą walczyło, Davidzie. Lubię ostre pojedynki. Szczerze podziwiam twoją odwagę. Ale zbliża się północ. - Pan Damortus wyciągnął rękę i Gregor podał mu nóż. - Masz wybór - kontynuował wicedyrektor. - Pierścień albo nóż. To twoja ostatnia szansa. Jeśli z niej nie skorzystasz, będę musiał zatopić to ostrze w twojej piersi. Uśmiercę cię z wielkim żalem. Wierz mi, zaboli mnie to bardziej niż ciebie, lecz uśmiercę cię, po czym wyprawimy ci miły pogrzeb na szkolnym cmentarzu. Możesz się jednak do nas przyłączyć, przyjąć nowe

nazwisko i rozpocząć poważną naukę. Ale pamiętaj: to decyzja nieodwracalna. Jeśli przyjmiesz pierścień, już nigdy go nie zdejmiesz.

David poczuł, że czyjeś ręce popychają go na granitowy stół, że go na nim układają. Zobaczył nad sobą krąg twarzy. Widział pierścień. Widział też nóż.

- Nadeszła pora, Davidzie - powiedział pan Damortus. - Co wybierasz?

Síódmy syn

Kiedy byłem chłopcem - mówił pan Eliot - musiałem pracować nawet w ferie. Ojciec dał mi taki wycisk, że przed powrotem do szkoły trzy tygodnie przeleżałem w szpitalu.

- Ale David ma tylko jeden dzień ferii - przypomniała mu pani Eliot, nalewając sobie kieliszek dżinu.

- Wiem, moja droga, wiem. - Pan Eliot wyrwał jej kieliszek i wypił go do dna. -1 moim zdaniem to o dzień za długo. Gdyby wyrzucono mnie z Beton College, ojciec już nigdy by się do mnie nie odezwał. Ba! Obciąłby mi uszy, żebym nic nie słyszał, gdyby odezwał się do mnie przypadkowo.

Siedzieli w salonie. Edward Eliot palił cygaro. Eileen Eliot głaskała Beefeatera, swego ulubionego syjama. Właśnie zjedli lunch, szynkową sałatkę wegetariańską, czyli taką bez szynki.

- Może zabierzemy go do kina albo co? - zaproponowała nerwowo pani Eliot.

- Do kina?

- No to może na... koncert.

- Zwariowałaś? - warknął pan Eliot. Rozzłoszczony pochylił się i zgasił cygaro na kocie. Kot przeraźliwie wrzasnął i zeskoczył z kolan pani Eliot, rozdzierając jej pończochy i orząc pazurami ciało. - Niby po co?

- Masz rację, kochanie - jęknęła boleśnie pani Eliot, wylewając na udo resztkę dżinu, żeby zatamować obfity krwotok.

Wtedy otworzyły się drzwi i do salonu wszedł David.

Zmienił się od wyjazdu do nowej szkoły. Schudł, spoważniał, wydoroślał. Zawsze należał do dzieci spokojnych i cichych, ale teraz w jego milczeniu było coś dziwnego. Jakby między nim i rodzicami wyrósł gruby mur. I patrzył na nich inaczej niż kiedyś, tak łagodnie, że niemal okrutnie.

Pan Eliot zerknął na zegarek.

- Davidzie - powiedział. - Do końca ferii zostało ci siedem godzin i dwadzieścia dwie minuty. Może byś tak skosił trawnik?

- Przecież nasz trawnik jest plastikowy! - zaprotestowała pani Eliot.

- No to niech go wymyje!

- Słusznie, kochanie. - Pani Eliot uśmiechnęła się promiennie i zemdląła z upływu krwi.

David westchnął. Siedem godzin i dwadzieścia dwie minuty. Nie zdawał sobie sprawy, że zostało mu aż tyle czasu.

Podniósł prawą rękę.

- Co ty masz na palcu? - spytał ojciec.

David wymamrotał kilka słów.

Nie było żadnego pufff!, żadnego dymu ani ognia, ale rodzice znieruchomieli jak na zdjęciu, jakby sfotografowano ich i jednocześnie w tę fotografię zamieniono. Pani Eliot zawisła w powietrzu, osuwając się z krzesła na podłogę. Pan Eliot zamarł z otwartymi ustami i czubkiem języka na górnych zębach.

Zakłęcie nie należało do skomplikowanych, mimo to rodzice mieli ożyć dopiero za trzy tygodnie.

David w zamyśleniu potarł pierścień. Wypowiedział wszystkie słowa bezbłędnie, z doskonałą wymową. Pani Kanabil orzekłaby pewnie, że trzy tygodnie to przesada, że wystarczyłoby kilka godzin, ale cóż, ona była perfekcjonistką, a on zawsze rzucał zaklęcia z dużym zapasem. Może dlatego, że tak bardzo lubił to robić.

Poszedł na górę i położył się na łóżku. W powietrzu zmaterializował się koktajl czekoladowy, który łagodnie podpłynął do jego ręki. David nie mógł się już doczekać powrotu do szkoły i do Jill. Czekał ich cały semestr nauki, a latem pierwsza sesja egzaminacyjna: telepatia, sterowanie zmianami pogodowymi, modelowanie w wosku i - najtrudniejszy z czterech egzaminów - zaawansowana ofiara krwi.

A potem? Wypił łyk koktajlu i uśmiechnął się do siebie. Koktajl był znakomity, taki, jak lubił, gęsty z mnóstwem czekolady. Wciąż czerwienił się na wspomnienie swojej pierwszej próby na zajęciach z kulinarki. Udało mu się zrobić koktajl-marzenie, taki z lodami bananowymi. Zapomniał tylko o drobiazgu: o szklance. Dopiero niedawno przywykł do tego, że ma w sobie tajemną moc, lecz coraz bardziej się z tego cieszył.

Jak tę moc wykorzysta? W czarnej magii czy białej? W dobrej czy złej?

Podajmy decyzje później - zaczeka przynajmniej do egzaminów. Nie miał wątpliwości, że je zda. Był siódmym synem siódmego syna. I nigdy w życiu nie czuł się lepiej.